

KAMENIA

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUBLIN - BIAŁYSTOK - KIELCE - RZESZÓW

KŁOPOTY PLANOWANIA

IRENUSZ JAN KAMIŃSKI

DWUKROTNE na łamach „Kamieni” pisałem o przestrzennym planie rozbudowy Lublina, przedstawiając zasadnicze koncepcje określające rozwój miasta. Trzeba tu jednak jeszcze dodać, że zatwierdzony 21 grudnia 1959 r. plan etapowy poprzedziło szereg akcji i badań mających na celu dokładne poznanie miejscowych warunków w zakresie zainwestowania, fizjografii terenu, demografii i ekonomicznych możliwości realizacji. Główny projektant i wykonawca elaboratu graficznego i opisowego planu — Miejska Pracownia Urbanistyczna Wydziału Architektury PMRN — współdziałając więc z czynnikami planowania gospodarczego, „Geoprojektem”, opierał się na studium socjologicznym opracowanym dla Lublina w 1958 r. oraz brał pod uwagę hipotezy Głównego Urzędu Statystycznego.

Już w toku realizacji planu okazały się mylne dane GUS o malejącej migracji ze wsi do miast; przy końcu 1960 r. mieszkało w Lublinie około 20 tys. osób ponad przewidywaną liczbę 168 tys. Również opracowania fizjograficzne wykonane przez „Geoprojekt” dotyczyły jedynie połowy terenów objętych planem, były więc niekompletne. W rezultacie przy niedostatecznej znajomości terenu, stanu technicznego budynków, bez naukowej tradycji podobnych przedsięwzięć — powstał elaborat przestrzennego zagospodarowania miasta, dzieło wyczerpanej pracy młodego zespołu lubelskich urbanistów.

Komitet Budownictwa, Urbanistyki i Architektury przyznając w r. 1959 I nagrodę Miejskiej Pracowni Urbanistycznej w Lublinie uznał plan za wartościowy, a jego założenia socjalne za zgodne z charakterem naszej rzeczywistości. Wysilek projektantów zmierzał w kierunku maksymalnego zaspokojenia potrzeb ludności w zakresie mieszkalnictwa, rozbudowy ośrodków rekreacyjnych i usługowych, funkcjonalnego rozwiązania relacji: mieszkanie — praca — usługi. Ogólna wytyczna demograficzna, m. in. warunkująca program i czas realizacji planu, była liczbą ludności, która w r. 1980 ma zbliżyć się do granicy 350 tys. Ponadto plan przewiduje stworzenie organizmu miejskiego, w skład którego wejdą dzielnice mieszkaniowe, z własnym ośrodkiem usługowym każda; całość powiąże śródmieście mieszczące usługi o funkcji ogólnomiejskiej: urzędy, dom towarowy, duże, wielobranżowe sklepy, kawiarnie, restauracje, kina i teatr. Przemysł zlokalizowano w dwu zasadniczych zespołach usytuowanych poza dzielnicami mieszkaniowymi; postulowano likwidację uciążliwych obiektów przemysłowych w śródmieściu lub zmianę ich przeznaczenia. Tak w ogólnych zarysach przedstawiało się stadium przygotowywania planu i jego zasadnicza koncepcja.

(Dokończenie na str. 9)



POMNIK GENERALA WALTERA W BIESZCZADACH (Patrz artykuł „Spotkanie z węglem” na str. 4)

DIABELSKIE MACHINACJE PUŁKOWNIKA KOWALOWA

JERZY DOSTATNI

ZANIM — z notesem w jednym i aparatem fotograficznym w drugim ręku — dogoniłem pułkownika Kowalowa, minęły trzy doby. Gdziekolwiek się zjawiłem, gdzie zatelefonowałem — pułkownik był, owszem, ale właśnie już wyjechał. Chociaż czasy są całkiem pokojowe i środki komunikacji funkcjonują zupełnie dobrze — pułkownik jako wytrawny partyzant wciąż był nieuchwytny. Dopiero telefon do Ministerstwa Obrony Narodowej pozwolił na ustalenie miejsc, w których pułkownik będzie. Ostatecznie spotkałem się w jednym z hoteli warszawskich, chociaż płk Kowalow zdążył już w ciągu tygodnia zwiedzić cały niemal powiat biłgorajski, odwiedzić miejsca dawnych swoich walk, spotkać się z żyjącymi jeszcze w Polsce swymi b. partyzantami, złożyć jedną czy dwie wizyty w Lublinie, ośnić swoimi wspomnieniami młodzież w Biłgoraju, uczestniczyć w zjeździe ZBoWiD-u w Kraśniku, odbyć szereg rozmów w Wojskowym Biurze Historycznym...

Siedzi przede mną człowiek, który niemal przed 20 laty na czele stworzonego przez siebie oddziału partyzantów radzieckich wkroczył na zie-

mie polskie i tu stoczył wiele walk, biorąc m. in. udział w słynnej bitwie w Puszczy Solskiej. To właśnie on dowodził oddziałem, który nosił nazwę „Oddziału Partyzanckiego im. Nikity Siergiejewicza Chruszczowa”. Przyjechał teraz po raz pierwszy do Polski po zakończeniu wojny, okazja więc jest niezwykła.

— O oddziale im. Chruszczowa wiadomo u nas bardzo mało. Nasze opracowania historyczne lub wspomnienia przytaczają wielokrotnie nazwisko pana pułkownika, ale — prawdę powiedziawszy — chyba nikt nie zna tego u nas dokładnie.

— W konspiracji i partyzancie polskiej używano pseudonimów, chodziło o to, aby uchronić od represji rodziny. My byliśmy w innej sytuacji, do naszych rodzin hitlerowcy mieli już raz na zawsze odciętą drogę. Występowaliśmy więc na ogół pod własnymi nazwiskami. Oficjalna nazwa oddziału była jednak zbyt długa i dlatego mówiono wtedy „oddział Kowalowa”.

— A dlaczego właśnie im. N. S. Chruszczowa?

— Towarzysz Chruszczow był wtedy I sekretarzem KC Komunistycznej

(Dokończenie na str. 2)

W OFLAGACH (1)

WINCENTY KAWALEC

WIDZĘ siebie idącego na wielkiej niwie kartofli. Pot zalewa mi oczy. Upał. Jesteśmy odcięci. Oslaniamy odwrót jakiegoś naszego oddziału. W odległości 200—250 m szosą jadą niemieckie czołgi, motocykliści. Widzą nas, ale się nie zatrzymują. Od czasu do czasu któryś do nas wypali z karabinu maszynowego w biegu. Od czasu do czasu zniża się samolot i ostrzeliwuje nas z karabinów maszynowych. My idziemy wolno. Niesiemy jeden ckm, ale bez amunicji, nawet nie masz jednego naboju w pistolecie.

Przed nami zbawczy las. Tam chyba dołączymy do naszych. Dostaliśmy amunicję. Jeszcze 150—200 m. Lecz cóż to? Z lasu serie broni maszynowej do nas. Padamy. Odpowiadamy ogniem karabinów ręcznych. Nagle uczulem ciężkie uderzenie w kolano i głowę...

Ocknąłem się na dobre w szpitalu połowym. Głowa kontuzjowana. Leżący obok mnie z raną w rękę nasz żołnierz wskazał mi na mój hełm rozerwany prawie do połowy. Hełm mnie uratował. Wziłem go z sobą po następnych szpitalach, dopóki nie wyrzucił mi go jakiś złośliwy Niemiec w szpitalu w Hamburgu.

Byłem zrozpaczony raną, naszą klęską, butnym zwycięstwem Niemców. Wiadomości radiowe były, niestety, bardzo dokładne. Rząd uciekł do Rumunii, Rydz-Śmigły zawiódł całkowicie. Hitler odbył w Warszawie defiladę...

Oczy nasze zwracały się na Zachód. Linia Maginota. Ale refleksje: Jesteśmy w Hamburgu. Tyle wojska niemieckiego, ani jednego nalotu. Co to za wojna!?

W grudniu 1939 znalazłem się w obozie dla jeńców w Itzehoe koło Hamburga.

ITZEHOE

Oboz w Itzehoe mieścił się w wojskowych koszarach. Było nas tam kilkuset — żołnierzy i oficerów. Zaczęło się kształtować życie obozowe. 3 razy dziennie apele, jedzenie bardzo kiepskie. Paczek i listów żadnych. Najgorzej było bez płaszczy, bo już grudzień, a później styczeń 1940 r., był bardzo mroźny.

Dookoła obozu Niemcy pośpiesznie założyli 3 rzędy drutów, wieże strażnicze. Straszna była pierwsza Gwiazdka i Nowy Rok. Optymiści twierdzili, że wojny na zachodnim froncie nie ma, bo szykuje się wielka ostateczna ofensywa aliantów. Będziemy w styczniu w domu. Był głód. Wtedy to ktoś zaczął lansować teorię indyjską — jeść mało, ziemniaki w lupinach, dobrze gryźć, pić dużo wody, mało chodzić. Teoria ta była powszechnie stosowana, dopóki w lutym nie zaczęły przychodzić pierwsze paczki. Wkrótce oddzielono od nas żołnierzy, którzy zaczęli wychodzić do pracy poza oboz. Oficerowie niektórzy ukryli swe stopnie i zamienili się z żołnierzami.

Już w pierwszych miesiącach wykrystalizowały się zasadnicze grupy, podobne we wszystkich obozach. Jed-

(Dokończenie na str. 3)

DIABELSKIE MACHINACJE PUŁKOWNIKA KOWALOWA

(Dokończenie ze str. 1)

Partii Ukrainy i właśnie temu podlegały wszystkie oddziały partyzanckie na tym terenie.

— Może więc kilka słów o początkach oddziału?

— Oddział nasz powstał w rejonie Równego w r. 1942. Po sformowaniu się walczyliśmy w rejonie lasów briańskich, potem w okolicach Zytomierza w zgrupowaniu im. Szczorsa pod dowództwem ppłk Taratuto. W lutym 1944 r. w rejonie Równego spotkaliśmy się ze zwycięskimi kolumnami regularnej Armii Czerwonej.

— Wypełniście zadania, więc...

— Chyba tak, ale wojna przecież trwała dalej. W końcu lutego na mocy uchwały KC KPU szef sztabu ukraińskiego ruchu oporu gen. Strokacz rozkazał mi utworzyć częściowo nowy oddział, ale pod tą samą nazwą — im. N. S. Chruszczowa. Po krótkim okresie działania w rejonie Lwowa mieliśmy wejść na terytorium Polski. Rozkaz ten wyznaczał nam następujące zadania: 1) dywersja na liniach kolejowych Warszawa — Lwów i Jarosław — Rawa Ruska, 2) okazanie czynnej pomocy polskim partyzantom, 3) przeszkadzanie hitlerowcom w eksterminacji ludności polskiej, wywozie do Rzeszy żywności i maszyn.

— Jak wyglądał początek akcji na ziemi polskiej?

— Granicę przeszliśmy w rejonie wsi Brusno Stare na południe od Narola. Oddział liczył ponad 200 dobrze uzbrojonych ludzi. Mieliśmy ciężkie karabiny maszynowe, automaty, moździerze, rusznice przeciwpancerne, no i oczywiście radiostację nadawczo-odbiorczą. Niemcy w jakiś sposób dowiedzieli się o kierunku naszego marszu i koło Brusna nawet nas trochę zaskoczyli. Chodziło im o to, aby nie dopuścić nas na teren Polski. Wywiązała się ciężka walka, ale odrzuciliśmy ich natargie, wzięliśmy do niewoli kilku jeńców i przeszliśmy na północ w lasy koło Huty Różanieckiej. Byłem wtedy porucznikiem Armii Czerwonej. Stąd nawiązałyśmy kontakt radiowy z naszym dowództwem. Nadleciały dwa samoloty i rzuciły nam broń oraz amunicję.

— Jak was przyjęła miejscowa ludność polska?

— Nadspodziewanie serdecznie. Na każdym kroku spotykaliśmy się z pomocą, otrzymywaliśmy informacje o ruchach oddziałów niemieckich itp. Szczególnie chciałbym tu wymienić ówczesnego mieszkańca wsi Korkosze — J. Knapa. Dziś mieszka w Dąbrowie koło Gorajca. Zaopatrzył nas zwłaszcza w żywność, a po baterie do radiostacji jeździł do Lublina i Rzeszowa. Jeżeli chcecie, redaktorze, mogę opowiadać wszystkie szczegóły poszczególnych akcji, ale chyba tego nie zdolacie opisać w jednym artykule. Może więc historyków odesłamy do czwartego tomu historii Wielkiej Wojny Ojczyźnianej w języku rosyjskim, gdzie jest cała historia naszego oddziału, a tu wspomniemy tylko o sprawach najciekawszych? — proponuje płk Grigori Wasiliewicz Kowalow.

— Chyba tak będzie najlepiej, panie pułkowniku.

— Koło Huty Różanieckiej była potyczka z Niemcami, zakończona ich odwrotem. Wkrótce schwytaliśmy tu niebezpiecznego szpiega niemieckiego, którego przekazaliśmy dowódcy polskiego oddziału partyzanckiego mjr. „Łosiowi”. Nasza kompania pod dowództwem Filimonowa w nocy przedarła się do Suśca, gdzie zniszczyła tory kolejowe i urządzenia stacyjne. Oczywiście trzeba było zmienić miejsce pobytu — przesunęliśmy się więc w rejon wsi Borowiec w powiecie bilgorajskim, następnie pod Janów Lwowski. W drodze powrotnej mieliśmy kilka potyczek w okolicach Lubaczowa. Tam właśnie minami wysadziliśmy na szosie dwa samochody ciężarowe z żołnierzami niemieckimi. Koło wsi Holodówka znów dwa samochody, tym razem z żywnością, poległo wtedy 4 Niemców. Potem było kilka akcji na majątki zagarnięte przez Niemców. Zdobyliśmy dużo żywności — część dla siebie, część rozdaliśmy ludności polskiej. Kolejna akcja to zniszczenie



mostu na Lubaczówce i spalenie dwóch następnych samochodów łącznie z czterooosobową obsługą.

— Podobno miał pan, panie pułkowniku, własne lotnisko?

— No, nie własne, ale do naszej dyspozycji. Ale jeszcze przedtem, gdy przechodziliśmy szosę Jarosław — Lubaczów, napotkaliśmy kolumnę samochodową. Udało nam się ją rozbić. Po bitwie dołączyło do nas dwóch Francuzów, którzy poprzednio byli zmuszeni pracować u Niemców. W lasach na północ od drogi Borowiec — Błonie urządziliśmy rzeczywiście lotnisko. Dziś rośnie tam piętnastoletni las, ale przed kilku dniami poznałem to miejsce natychmiast. Lotnisko było konieczne, aby wysłać do kraju rannych i chorych, a przyjąć uzupełnienia ludzi i cięższej broni. Jeden z samolotów uszkodził sobie podwozie i przez przeszło tydzień nie mógł wystartować. Niemieckie samoloty bardzo go szukały, zrzucały bomby w różne miejsca. Ale nasza maszyna była doskonale zamaskowana i po naprawie odleciała bezpiecznie. Ożywiona działalność naszego lotniska doprowadziła hitlerowców do wściekłości. W ciągu kilkunastu dni nalicyliśmy nad sobą około stu lotów niemieckich. Zrzucały bomby na ślepo, bo przecież ich oddziały lądowe nie miały odwagi wejść do lasów, aby ustalić nasze pozycje. Pewnego dnia te loty bardzo dokuczyły moim partyzantom, gdy więc jeden z samolotów krążył bezczelnie długo, padła salwa z całej naszej broni. Samolot zachwiał się i odleciał ciągnąc obniżony ogon. Wiedzieliśmy co będzie dalej — więc natychmiast zmieniliśmy pozycje. Istotnie po kilku godzinach nadleciało razem 27 samolotów. Ale bomby wybuchały już w pustym lesie. W tym czasie, marzec — czerwiec 1944 r., w rejonie Bilgoraja działało 8 radzieckich oddziałów partyzanckich: im. Budionnego (d-ca Jakowlew), im. Kirowa (d-ca Nadielin), im. Newskiego (d-ca Karasiow), im. Suworowa (d-ca Sankow), Prokopiuka, Szangina, Czyżowa i Kowalowa, a także polskoradziecki im. Stalina (d-ca „Mucha” — Mikołaj Kunicki). Oczywiście w sumie stanowiliśmy całość, wiele akcji przeprowadzaliśmy razem. Ale chyba w każdym oddziale byli partyzanci polscy. W naszym oddziale w maju mieliśmy 80 partyzantów polskich z Borowca, Korchowa, Łukowej, Plus i in. Teraz odnalazłem swoich dawnych żołnierzy, m. in. Józefa Borzania, Jana Lembyka, Stefana Sagana, Jana Majchra, Teodora Sikorę, Józefa Patlaczynskiego, Wasyla Kolarza, Franciszka Minkiewicza, Lucjana Junaka.

— Niemcy przygotowywali już w tym czasie operację „Wicher I” czyli okrajenie lasów janowskich.

— Tak. Ale nasz oddział w tej ciężkiej bitwie nie brał udziału. Przeprowadziliśmy dywersję kolejową i drogową. Koło Zwierzynca zerwaliśmy most na Wieprzu, na stacji Krasnobród zniszczyliśmy sześćdziesiąt wagonów i pięć lokomotyw oraz urządzenia stacyjne, razem z oddziałem Szangina stację Długi Kąt. Do przygotowywanej generalnej rozprawy z ruchem partyzanckim Niemcy sprowadzili wtedy m. in. korpus kawalerii kałmuckiej Dolla. Chodziło o to, aby tym zdziwczym zdrójcom nie pozwolić wejść na tereny partyzanckie, a równocześnie uchronić możliwie największą ludność polską przed planowaną eksterminacją. Wysadziliśmy więc most na Tanwi, obroniliśmy wieś Łukową, Babice i Zamech. Specjalne grupy paraliżowały

komunikację na szosach i liniach kolejowych, co poważnie utrudniało Niemcom koncentrację jak i zaopatrzenie frontu wschodniego, a także pierścienia wokół lasów janowskich.

— Po nieudanej operacji „Wicher I” Niemcy przystąpili do operacji „Wicher II”, czyli otoczenia i wyniszczenia oddziałów partyzanckich, polskich i radzieckich, w Puszczy Solskiej. Zgrupowali 30 tysięcy żołnierzy. Ta bitwa jest naszym społeczeństwu dobrze znana. Proszę więc tylko o informacje w sprawie udziału grupy im. N. S. Chruszczowa.

— Jak widać, hitlerowcy po okrajeniu puszczy utworzyli trzy silne linie, zaciskając pierścień. Oddziały radzieckie stanowią wtedy jedno zgrupowanie pod dowództwem ppłk. Prokopiuka. Dwukrotne próby przedarcia się nie udały się. Dopiero trzecia, zmasowana próba ataku na Tanew powiodła się. Walka była niezwykle ciężka. Z obu stron ogień był wprost huragony. W okopach walczyliśmy na noże i zęby. Wyszliśmy w końcu na Rudę Różaniecką, kierując się w stronę Płaszowa. Tam dogonili nas oddziały niemieckie 213 dywizji piechoty, pragnąc znów utworzyć kocioł. Zniszczyliśmy 4 samochody zwykłe, 2 pancerne, wzięliśmy jeńców, minery na oczach całego naszego oddziału wysadzili w powietrze pociąg na linii Rawa Ruska — Jarosław i zapadliśmy na krótki odpoczynek w rejonie Niemjrowa. Tu przyleciały nasze samoloty, przywoziły świeżych ludzi, broń i amunicję, zabrały rannych.

— Niemców to już teren ZSRR. Czyżby więc koniec partyzanckiej epopei?

— Nie, przecież na tym terenie wojna wciąż jeszcze nie była skończona. Po krótkim odpoczynku znów wróciliśmy w okolice Bilgoraja. Po kilku potyczkach stanęliśmy we wsi Kiszki koło Janowa Lubelskiego. Stąd przeprowadzaliśmy szereg dywersji na ważnych strategicznie szosach Bilgoraj — Janów i Janów — Kraśnik, zerwaliśmy most we wsi Harasiuki (piękną szkołę wybudowaliście tam teraz). Założyliśmy tu obóz, do którego wkrótce dołączyły oddziały Szangina, Jakowlewa i Sankowa, nawiązałyśmy znów bliski kontakt z oddziałem AL „Przepiórki” (Gronczewskiego).

— Wasz oddział brał bezpośredni udział w oswojeniu Bilgoraja. Jak to było?

— W Kiszkach otrzymaliśmy rozkaz radiowy, aby wziąć udział w ataku na Bilgoraj. Front bowiem już był bardzo blisko. Po drodze więc zerwaliśmy wszystkie odbudowane już mosty i zajmując postawę wyjściową we wsi Sól (dziś przedmieście) zaczęliśmy atakować. Nasz zwiad nawiązał łączność z 258 dywizją piechoty Armii Czerwonej. Po krótkim oporze Niemcy w dwóch grupach opuścili miasto. Jedna z nich uciekła na Janów, ale po drodze wpadła w naszą zasadzkę. Reszta oddziału wkroczyła do miasta, gdzie spotkała się z 258 dywizją. Powitanie było niezwykle radosne, ale i krótkie. Niemcy mogli w każdej chwili wrócić, a wojska regularne szły dalej. Zajęliśmy więc pozycje na północ od miasta. I rzeczywiście wkrótce pojawiła się grupa nieprzyjacielska z dwoma samochodami pancernymi. Prawdopodobnie po to, aby podpalić miasto. Nic z tego nie wyszło, oddział hitlerowski został rozniesiony. Nasz zwiad, który doskonale znał teren, podprowadził oddziały regularne w rejon Sandomierza, gdzie tworzył się już przyczółek na Wiśle. My otrzymaliśmy rozkaz, aby wrócić w rejon Rawy Ruskiej.

— Słyszałem, że wtedy spełnił pan pułkownik swoje największe marzenie osobiste. Czy to prawda?

— Płk Kowalow uśmiecha się trochę z żałowaniem, trochę z radością i dumą.

— Tak. Po drodze zatrzymaliśmy się we wsi Zanie, 10 km od Bilgoraja. Tu ożeniłem się. Weselisko było huczne z udziałem całej wsi, która przecież cieszyła się równocześnie z odzyskania wolności. Moją żoną została radiotelegrafistka naszego oddziału, Jekaterina Siemionowna Diemczenko. Potem przez Tarnogród i Lubaczów do Rawy, stąd do sztabu partyzanckiego w Kijowie.

— Czy na zakończenie można zapytać, co pan pułkownik robi teraz?

— Po wojnie wysłano mnie do akademii wojskowej w Moskwie. Po jej ukończeniu zostałem starszym wykładowcą w różnych szkołach wojskowych, teraz we Lwowie. Moja starsza córka dwiętnastoletnia Lena jest studentką tamtejszego uniwersytetu, czternastoletnia Nadia

ALEKSANDER BRAMSON

(1893–1963)

Lubelskie środowisko naukowe wniosło dotkliwą i bolesną stratę: zmarł (dnia 19 lipca 1963 w Warszawie), w jedenastym roku swej pracy w lubelskim ośrodku akademickim, prof. Aleksander Bramson, kierownik Katedry Prawa Międzynarodowego Publicznego Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej.

W Zmarłym, Jego najbliżsi współpracownicy oraz studenci stracili wybitnego nauczyciela i wychowawcę. Prof. Bramson, mając za sobą wieloletnią praktykę niemal że we wszystkich zawodach prawniczych — w adwokaturze, w prokuraturze — a także w służbie zagranicznej, starał się na wykładach i seminariach przekazać swym słuchaczom nie tylko wiedzę „podrecznikową”, lecz dużo więcej: chciał wpoić młodzieży umiejętność prawniczego myślenia. Z tą Jego troską w ścisłym związku pozostawało Jego niezwykle subtelne wyuczanie językowe, które mógł z równym powodzeniem stosować tak w zakresie języka polskiego, jak i francuskiego, rosyjskiego, angielskiego oraz niemieckiego. O wielkiej precyzyjności językowej prof. Bramsona świadczy cały Jego dorobek naukowy, na który składa się kilkadziesiąt prac z dziedziny prawa międzynarodowego i innych dyscyplin prawniczych.

Słuchanie wykładów prof. A. Bramsona, bogatych w swej treści i błyskotliwych w formie, było nie tylko bardzo pożyteczne, ale i sprawiło prawdziwą przyjemność. Wielką przyjemność sprawiły również rozmowy, jakie prof. Bramson często prowadził z tymi, z którymi stykał się na co dzień nie tylko w ramach zajęć dydaktycznych. Rozległości Jego zainteresowań (posiadał doskonałą znajomość historii, literatury i sztuki, wyłącznie studium muzycznym poświęcił w swej młodości kilka lat życia) towarzyszył wytrwały smak artystyczny. Podziw budził przy tym Jego doskonała pamięć: w twórczości, w każdej chwili mógł deklamować długie wyjątki z „Iliady” i „Odysei” po grecku, strofy z dzieł Węgliusza czy innych mistrzów starożytności po łacinie; jeśli chodzi o nowszą literaturę europejską — długie cytaty z dzieł Goethego — tego poe'tę najbardziej, wydawało się, uwielbiał — całe strony z dzieł filozoficznych Nietzschego, czy też cytaty z dzieł, które zaliczał do „wielkiej literatury rosyjskiej”.

Prof. Bramson był przy tym człowiekiem bardzo bezpośrednim i zawsze życzliwie ustosunkowanym wobec ludzi. Te cechy oraz duże poczucie humoru znakomicie ułatwiały i umiły współpracę z Nim. Szczerzy szacunek i podziw budziła nadzwyczajna rzetelność i ofiarność, z jaką wykonywał swoje liczne obowiązki służbowe i społeczne. Również postawa życiowa prof. Bramsona, jak i Jego światopogląd, szczególnie predestynowały Go do pełnienia ważnej i trudnej funkcji nauczyciela i wychowawcy akademickiego.

(g. s.)

uczy się w ósmej klasie. Już nie wiem ile razy musiałem im opowiadać o działalności partyzanckiej w Polsce. Gdy tu kiedyś przyjadą, to chyba na pamięć wszędzie trafią.

— Niemal w przeddzień ponownego sformowania oddziału im. Chruszczowa, w dniu 30 stycznia 1944 r. Hitler powiedział przez radio: „Pomimo wszelkich diabelskich intryg naszych przeciwników, wojna ta zakończy się zwycięstwem Rzeszy Niemieckiej”. Pan był jednym z tych, którzy prowadzili te „diabelskie intrygi”.

— Nigdy nie wierzyłem w istnienie diabłów — śmieje się pułkownik. Wierzyłem natomiast w naszą ojczyznę, wierzyłem w powstanie niepodległej Polski. Cieszę się niezmiernie, że do odzyskania tej niepodległości przyczynił się także nasz oddział partyzancki im. N. S. Chruszczowa. Pragnę przekazać polskim czytelnikom moje najlepsze, z głębi serca płynące podziękowania tym wszystkim polskim przyjaciółom, których tak wola-

Jerzy Dostali

Obdartus

Być poetą oznacza to samo,
jeśli prawdy życia nie naruszyć,
co zadawać własnej skórze rany,
krwią uczucia pieścić cudze dusze.

Być poetą to oplewać wolność,
by twa sława rosła dookoła.
Słowik śpiewa — jego nie nie boli:
piosnka jego zawsze jednakowa.

W obcych ustach głos kanarka
falszem,
nędzna, śmieszna jedynie grzechotka.
Świata trzeba śpiewać pieśni zawsze
po swojemu, choćby jak rechołka.

A przesadził Mahomet ponury,
kiedy wina zabraniał w Koranie.
Stąd poeta idąc na tortury
wina pić tym bardziej

nie przestanie.

I gdy idzie do najdroższej swojej,
a najdroższa z innym w łóżku leży,
on ożywym broniąc się napojem
w serce milej nożem nie uderzy.

Lecz choć zazdrość śmiała
nim owładnie,
gwizdząc będzie w noc do domu
kroczyć:

„Cóż, włócząc umrzeć mi wypadnie,
to mnie także w życiu nie zaskoczy”.

Pójdę torem kolejowym
śledząc, jak daleko
w niebie żółtym, purpurowym
linia szyn ucieka.

Drząc przywlokę się do dworca,
przejdę mroczne sale,
nim włóczędzie krzyk dozorecy
każe ruszyć dalej.

Potem znów, jak tyle razy,
wróci to wspomnienie:
piękna pani z pierwszej klasy
rzuca mi spojrzenie.

Wobec dumy jej królewskiej
cóż ma miłość znaczy?
Ale oczu tak niebieskich
nigdy nie zobaczę!

Zakpię sobie z przyjaciela,
zwrócę mu się z cierpień,
gdy na łańcuchy ściele
cieplą nocą sierpień.

Ten uśmiechnięty się bezwstydy,
gwizdnie i odpowie:
— Naczytałeś się ohydy,
stąd zajączki w głowie.

Przełożył

Kazimierz Andrzej Jaworski

W OFLAGACH

(1)

(Dokończenie ze str. 1)

na — to ci, którzy zaczęli naukę własną języków, przedmiotów zawodowych, studia z różnych dziedzin. Druga to ci, którzy wyżyli się w twórczości artystycznej — malarstwo, rzeźba, grafika, orkiestra, chóry, teatr itp. Trzecia — to ci, którzy chcieli przeżywać obóz przy brzydu. Ta była najmniej liczna, złożona przeważnie z oficerów zawodowych.

Między tymi grupami można by wyróżnić 2 dalsze — moim zdaniem, najwartościowsze, obejmujące największą ilość silnych indywidualności. Pierwsza — to profesorowie uniwersytetów i szkół średnich, fachowcy z różnych dziedzin, którzy organizowali jawne i tajne kursy naukowe, dokształcające kluby dyskusyjne, referaty naukowe i światopoglądowe itp. Do tej grupy zaliczyć mógłbym obecnych profesorów uniwersytetu warszawskiego: dr Jana Wasilkowskiego, dr Tadeusza Pasierbińskiego i dr Jana Drewnowskiego, którzy prowadzili komplety studenckie oraz wyższe kursy nauczycielskie, obecnego ministra spraw zagranicznych Adama Rapackiego, którego wykład na temat przyszłości spółdzielczości pamiętam do dnia dzisiejszego. Tak mnie on zainteresował spółdzielczością, że zaraz po wojnie przystąpiłem do pracy w spółdzielczości.

Nazwisk tych wymienić by można więcej, chociażby wspomnieć twórcę projektu stadionu X-lecia — prof. Hryniewieckiego, aktora Kazimierza Rudzkiego i wielu innych.

Drugą grupę tworzyły najbardziej niespokojne dusze — uciekinierzy. Ludzie, którzy bez względu na niebezpieczeństwo chcieli się z obozu wydostać, chcieli walczyć z wrogiem — widząc w tym swój żołnierski obowiązek. Ta grupa była najbardziej konspiracyjna, skryta, samotna wobec Niemców i swoich. Zdobyte ubrania czy pieniądze na ucieczkę było często równoznaczne z koniecznością wyrzucenia się pęczek na kilka miesięcy. Wykrycie ucieczki — równało się nie tylko stracie ubrania, pieniędzy, czy dokumentów, ale wielu tygodniom aresztu lub nawet więzienia, pozbawieniu pałeczki i listów, a także wprowadzeniu na specjalną listę niemiecką do późniejszego „specjalnego potraktowania”.

Zaczął się początkowo rysować jeszcze inny podział — na oficerów rezerwy i na zawodowych. Po kilku pierwszych tygodniach ten podział nie był już widoczny. Właściwie warunki życia były podobne dla wszystkich stopni wojskowych. Pewne lepsze warunki zakwaterowania, jakie mieli generalowie — nie zmieniają ogólnego układu.

Na wiosnę w 1940 r. przez Itzehoe przemaszerowała w ciągu dwóch dni

wielka armia niemiecka prac szeroka falą na północ. Zobaczyliśmy po raz pierwszy roje szybowców wylądowanych bronią i sprzętem, ciągniętych przez samoloty. Był to bardzo dziwny, fantastyczny, złowrobnny widok.

Lecz dlaczego flota zachodnia milczała? Nazajutrz Niemcy ogłosili o zajęciu Danii, Norwegii...

W obozie zawrzało. Stało się dla nas jasne, że Zachód jest słaby.

Wtedy po raz pierwszy zacząłem myśleć o ucieczce...

W Itzehoe też po raz pierwszy poznałem barbarzyństwo i zorientowałem się, że Niemcy bezczelnie łamią konwencje genewską o jeńcach wojennych. Tam to odbyła się pierwsza ucieczka. Kpt. Poszumski i ppor. Kuchciński próbowali w nocy ucieczki przez druty. Po przecięciu drutów, tuż przy głównym pasmie drutów, zostali złapani przez silny reflektor. Do leżących podszedł oficer niemiecki i strzelał z odległości 2—3 kroków do każdego. Kpt. Poszumskiemu strzaskał kolano, Kuchcińskiemu wpakował nabój w udo. Stało się to na rozkaz kpt. Wehrmachtu Hasseltda, który obserwował na zimo całe zajście.

Komendantem obozu był pplk Fuchs, który udzielił tym obydwóm oficerom niemieckim specjalnej pochwały za bohaterskie zachowanie się w wypadku ucieczki.

Pewnego dnia w wielkiej tajemnicy rozeszła się wiadomość, że obóz jest przenoszony w rejon Lubeki. Zaczęliśmy szukać na mapach miejscowości Sandbostel, którą nam podawano. Była tam tylko Lüneburska puszcza. Poznać ją mieliśmy wkrótce od najgorszej strony...

Na porannym apelu Niemcy nam podali, że obóz jest ewakuowany i wyjeżdżamy. Działali przez zaskoczenie. Nie zaskoczyli oni trzech czujnych oficerów, przygotowujących się do ucieczki. Pozwolono zabrać tylko rzeczy najbardziej osobiste. Kilku godzinna rewizja i wielokrotne liczenie. Brakowało trzech oficerów. Nikt nie wiedział, jak się to stało. Sytuacja się wyjaśniła w kilka tygodni później, gdy nadeszła wiadomość, że dwóch z trzech uciekinierów przez Węgry, Jugosławię, Rzym, dostało się do Francji, gdzie wstąpił do polskich oddziałów. Jeden z nich — ppor. D. — został złapany i ślad o nim zaginął. Wtedy to wyjaśniła się też sprawa ich ucieczki. Otóż uzyskawszy wiadomość o ewakuacji obozu, przed wyjściem zamurowali się w jednej z piwnic koszarowych, zabezpieczając sobie tylko dopływ powietrza. Po wyjściu obozu, zanim weszła nowa jednostka wojskowa — opuścili obóz i jako robotnicy niemieccy dostali się na dworzec.

Podróż z Hamburga przez Lubekę do Sandbostel była koszmarna. Zarówno Hamburg, jak i Lubeka, były jeszcze w tym czasie zupełnie nietknięte przez naloty.

W POLU

EDWARD STACHURA

Lato było. Samo złoto lata, które nie w środku letniej pory jest, nie w samym środku, równo między jedną połową a drugą, ale na początku drugiej połowy, a nawet troszeczkę dalej. Ja to zbadałem parę razy. Popołudnie było. Wczesne popołudnie.

Gdzie ja mogłem być o tym czasie dnia i roku? Gdzie ja się mogłem obracać o tym złotym czasie? Byłem tam, gdzie trzeba było. Byłem tam, gdzie trzeba było i gdzie jest najlepsze miejsce o tym czasie. Bo mam, mam nieraz wielkie szczęście. Byłem w polu. O, nie będę mówił, gdzie byłem jeszcze wczoraj, gdzie spałem dzisiejszej nocy i dlaczego tak krótko i jak się znalazłem nagle i niespodziewanie w złotym polu o złotym czasie. Nie będę mówił czy jestem głodny, czy nie tak bardzo, czego szukam i gdzie idę; co mnie gna, nie muszę o tym mówić. Sumienie mam spokojne. Ale muszę powiedzieć jak w polu było. Jak było w polu. Niezmiernie, niezmacona spokojność unosiła się nad rżyskiem i nad łąkami. Nieludzki spokój panował w rozgazanym powietrzu. W jego sumieniu. I jak się znam i wiem jaki jestem, jakie mam sumienie czyste i spokojne, tu nie było co się z tym mierzyć. Bo to był spokój żywy i martwy razem wzięty, czyli coś takiego może jak spokój dźwięczący, co urodzone dopiero, zasnęło pierwszym snem swoim niepowtarzalnym. Bo drugi sen już chyba inny jest. Powtarzalny. Bo między pierwszym snem a drugim ono już pozna głód jak wygląda. Próbuję to jakoś opowiedzieć, ten spokój panujący wczesnego popołudnia, staram się, ale to jest nie do opowiedzenia prawie, ten spokój, chociaż, jak mówiłem, sumienie mam spokojne i to powinna być duża pomoc. To się powinno zlewać jedno z drugim. Ale może się tutaj mylę. Może jakby tu był ktoś z niespokojnym sumieniem, to może on by lepiej potrafił tę spokojność ocenić. Na przykład jakby zabójca człowieka znalazł się w takim złotym polu w spokojności właśnie takiej niezmaconej. Jak on by to ocenił? On by to musiał ocenić jak mało kto, teraz widzę i widzę, że się przedtem myliłem chyba jednak. Taki spokój powinien być go przyniesienie do ziemi, zmiładzanie jak beton spadający albo oszaleć, zwirować on by mógł od tego. W powietrzu latały motyle i różne owady i trzmiele, raz na chabry siadając, raz na maki i powietrze aż brzęczało dokoła, ale spokój był nieludzki.

Włęc byłem właśnie w takim polu. I nie będę mówił, gdzie byłem wczoraj i przedwczoraj, kilka dni temu ani nawet nie będę mówił, gdzie dzisiejszej nocy spałem i dlaczego tak krótko, to znaczy, co mnie obudziło. Ale wiem, co mówię, jak powiem, że mógłbym mieć niespokojne sumienie, gdybym nie powiedział o niebie, jakie było. Jakie było niebo. Niebo było sto pięćdziesiąt razy jak to jezioro, nad którym byłem z jednym człowiekiem i który do mnie: „no i jak?”, a ja kiwałem tylko wolno głową w lewo i w prawo. Niebo było takie. Sto pięćdziesiąt razy.

Włęc byłem właśnie pod takim niebem. I nie będę mówił nie o przeszłości mojej dalekiej czy bliskiej, czy dzisiejszej nocy, co mnie spotkało, ani o przyszłości mojej nie będę myślał. I ani tak samo o przyszłości ludzkości nie będę się zastanawiał głęboko. Byłem w złotym polu o złotym czasie pod niebem wielkim błękitnym. I koniec. Na tym kończę.

MARIA JÓZEFACKA

włosenne rozlewiska
zaciśnięte
bal brzoź
dziewczęco nalwnych
cienki
strumyka smyczek do serca
zachłystem srebrnym
aż świergot

kolo zamku Blarney jest taka ścieżka
i w Kazimierzu druga
w drzewa się wwisza liściaste
i w jar nagle wpada
jak wiewiórka
a zamek? jaki tam zamek
już był już go nie ma
bo to przecież nie zamek to brama
gdzie dziurka od klucza niebo
podpatrzone

SANDBOSTEL

Obóz w Sandbostel był olbrzymi. Obok naszego był obóz żołnierzy angielskich i radzieckich. Sandbostel to już był obóz specjalnie budowany dla jeńców. Były tam tylko trzy rzeczy — jeńcy, druty i piasek. Wszędzie piasek — pustynia piaszkowa. Piasek sypał się do oczu, gardła, nosa. Wiatr hulał codziennie, unosząc kłęby kurzu. Obóz na wykończenie. O podkopie w piasku nie ma mowy. Przez 14 miesięcy naszego tam pobytu nikt nie uciekł. Jedyna próba ucieczki w brudnej bieliznie też nie dała rezultatu.

W tym obozie rozwinęła się wśród jeńców choroba drutów. Jest to straszna choroba. Owładnięty nią na widok drutów rzuca się na nie i ginie. Tak zginął w moich oczach jeden z profesorów uniwersytetu wileńskiego. W tym obozie odsiedziałem 14 dni o chlebie i wodzie w areszcie za wygłaszanie w jednym z baraków informacji o sytuacji na froncie. Było to w 1941 r. Niedługo potem z grupą tzw. podejrzanych zostałem przewieziony do karnego obozu w Lubece. W czasie przejazdu pociągiem w jednym z wagonów wyrwano deski w podłodze i ten sposób próbowało ucieczki dwóch jeńców. Jeden z nich skoczył, gdy pociąg ruszał i doznał złamania nogi z powikłaniami. Drugiego postrzelił wartownik z sąsiedniego wagonu.

Ucieczka się nie udała.

Wincenty Kawalec

(C. d. w następnym numerze)

no a klucz gdzie?
w dziupli, a drzewo?
oj daleko za rzeką i dalej
a gdy śpisz roślinie blisko tuż obok
tylko ręką sięgnąć i znaleźć.

„when no man was his own”
Shakespeare

mileżą
cienie krążą jak w łodziach
a pasikonik księżycem
znowu o trzcinę zatrać
są dla siebie tak niespodziani
że patrzą w milczeniu
jak cygan
podchodzi i zwija w rulon
szkarlatny plakat zachodu
i zaraz potem jest tylko
pstra miękkość
podchodzenia pod las



DROGI w Bieszczadach są kręte, wśród lasów i rwących rzek. Gdzieniedzie spotyka się jeszcze zerwane mosty i stare, drewniane, zabytkowe cerkiewki — ślad dawnego życia, dawnych ostrych walk. Na starym wyrasta nowe: murywane osiedla, zasobne wsie.

Autokary wiozą wycieczkę Związku Literatów. Przyglądamy się wszyscy z bliska temu, o czym słyszeliśmy wielokrotnie.

Dla mnie, oddzielonej od kraju przez wiele lat, każdy krok był zetknięciem z tą nową Polską, której nie znałam, chłonełam więc wszystkie widoki, przyglądałam się ludziom, domom, stadom owiec. Widziałam budujące się drogi, zapory wodne, wspaniałe elektrownie, byłam zdumiona rozmachem nowego życia.

Zatrzymaliśmy się na chwilę w kotlinie górskiej, gdzie zginął generał Świerczewski i gdzie teraz wznosi się pomnik z granitu. Widok stąd szeroki, powietrze czyste, zdaje się, że wibruje w nim odgłos tamtych walk.

W Rzeszowie, stolicy tych ziem, wzięliśmy udział w spotkaniu z działaczami, którzy zapoznali nas z problemami Rzeszowszczyzny, typowego województwa „z awansu”, w którym rosną nowe osiedla mieszkaniowe i szkoły, a wydatki na zakup książek wynoszą rocznie trzy miliony złotych.

W Odrzykoniu pod Krosnem, wsi bohaterskiej i dzielnej, która własnymi siłami odbudowała się ze zniszczonej wojennych, gospodarze zaprosili nas do świetlicy. Słuchałam przemówień chłopów, mówiących szczerze o wszelkich bolączkach wsi, o pracy, o osiągnięciach. Budują dom kultury. Przeprowadzili elektryfikację i gazyfikację. Ich młodzież uczy się w miastach, lecz często wraca, by pracować w rodzinnej wsi. Jest w Odrzykoniu kółko rolnicze, koło gospodyń, biblioteka, teatrzyk. Właśnie pomysły afisze w świetlicy zapraszają na najbliższe przedstawienie.

Starzy chłopcy wspominają czas wojny i krwawych walk, jakie w pobliżu stoczono z Niemcami. Na pięknie utrzymanym cmentarzu leżą równymi szeregami żołnierze polscy, czeski i radziecki, tutaj polegli. Z Odrzykoniu ruszyliśmy w dalszą drogę i przez Krosno, Biecz i Nowy Sącz, prześliznęliśmy się z renesansowym ratuszem i niesłychanie ciekawym muzeum etnograficznym — wkroczyliśmy w Rybnickie Zagłębie Węglowe.

Ogólne zasoby tego bogatego Zagłębia, w którym pierwsza kopalnia powstała w wieku dziewiętnastym, wynoszą miliardy ton.

Zwiedzamy nowoczesną kopalnię „Jastrzębie”. Jej biura mieszczą się w olbrzymiej hali pod precyzyjnie skonstruowaną kopułą, przypominającą ścianki plastra miodu. Zapoznaliśmy się tu ze sprzętem ra-towniczym, z uruchomioną niedawno ultranowoczesną windą, rozmawiamy z inżynierami i górnika-mi.

Właśnie górnicy wracają z drugiej zmiany. Twarze mają zmęczone, pokryte węglowym młakiem. Kombinezony brązowe i żółte hełmy. Jest kilka kolorów hełmów i jeden z inżynierów wyjaśnia mi, że kolor biały nosi tzw. dozór, czerwony — straż pożarna i technicy, zielony zaś „góra górnicza”. Tak samo kolorowe są pióropusze przy galowym stroju górnika: czarny, biały, zielony, czerwony. Zielony noszony jest przez władze — do ministra górnictwa włącznie.

Specjalnie atrakcyjnym punktem zwiedzania kopalni ma być zjazd w głąb kopalni „Chwałowice” i „1 Maja”. Chwałowice są kopalnią starą, bez nowoczesnych ulepszeń, więc decyduję się na nią, chociaż inżynierowie i koledzy odradzają mi to ze względu na trudne warunki, wąskie tunele i „słabą pleć”. Lecz upieram się przy „Chwałowicach”, bo chcę poznać, choć powierzchownie, pracę górnika. Nie przerażają mnie nawet metalowe blaszki z numerkiem, jakie wręczają każdemu z nas. Mają to być znaki rozpoznawcze na wypadek katastrofy.

Dostajemy ubrania górnicze: kalesony, onuce, kozułe, gumowe buty, kombinezon, hełm, rękawice, latarkę i laskę — kilofek. Ciemna winda wiezie nas 300 metrów pod ziemię. Zapadamy w ciemność,

Spotkanie z węglem

JOZEFA RADZYMIŃSKA

gdzieniedzie tylko rozświetlona małymi błyskami lampek. Wagoniki z węglem mkną po szynach, powietrze jest chłodne, u zbiegu tunelów wieje ostry wiatr. Ściany tunelu są czarne, szkli się kamień, pod nogami zwaly węglowego pyłu.

Idziemy już dość długo aż do miejsca, gdzie zamiast wagoników jest taśma, mknąca szybko i wioząca złom węglowy. Gdyby tak nieopatrznie potknął się i upadł na nią, zabrałaby najpewniej bezwolne ciało i uniosła wraz z węglem w spadzista, niewiadomą czeluść. Idę przeto tuż przy skalistej ścianie, a bryły węgla leżące w wąskich przejściach, napawają mnie lękiem.

Wąski tunelik kończy się i mamy przed sobą usypisko miału, po którym będziemy się piąć w górę. W miałe ledwie widoczne szczebelki. Wspinaczka jest trudna, laska-kilofek raz po raz zapada się w miał, usypisko zdaje się nie mieć końca. Za mną idzie z trudem poeta Seweryn Pollak. Choć właściwie nie ustępuje on dwudziestolatkowi ze „Współczesności” — wszyscy zaczynamy się męczyć bez względu na lata i pleć. A tu podobno dopiero zaczyna się najgorsze: niski, wąski tunel, pełen głazów. Można iść tylko pochylając się. Plecy nie są w stanie tego wytrzymać, więc zaczynamy się czołgać po miałe. Nie sposób podnieść głowy, bo zaraz uderza się o olbrzymie bale, podtrzymujące węglowy strop. Brak mi tchu i sił. Zaczynam rozumieć, dlaczego nie chcieli mnie zabrać do tej trudnej kopalni. Lecz idę. A właściwie czołgam się. Oddech mam świszczący i ciężki, nogi mi się plączą, onuce w gumowych butach poobsuwały się i za każdym krokiem czuję ból wżerający się w ciało.

Tą drogą idą co dnia górnicy do ściany, przy której pracują, rozsadzając dynamitem skały i bryły. Daleko gdzieś warczy kombajn. To już chyba ta ściana. Pył węglowy jest tak gęsty, że z trudem i lękiem otwieram oczy. Wargi mam spieczzone, sora-rąco mi, serce wali, jeszcze parę chwil, a usiade i nie będę w stanie się podnieść. Lecz tunelik jest tak wąski, że nie ma odwrotu, nie ma ratunku — jak tylko wciąż iść naprzód. Więc zaciskam usta i idę. Warkot kombajnu i świrdrów coraz bliższy. Huk. Czarna ściana opada, kruszy się, gęsty pył rzuca się na twarze.

To tu. Górnicy w hełmach stawiają szybko tzw. organy, podtrzymujące strop. Patrzę na nich zmęczona. Czarny pot spływa im po twarzach, po odsłoniętych ramionach i w tych ciemnościach, w tym pyłe, wydają się jakimiś bożkami pracy o twarzach, z których pył i pot starły lata. Nie wiem przeto, czy młodzi są wszyscy, czy tylko ten, który się do nas uśmiecha. Stać go na uśmiech!

Siadam w pyłe węglowym, patrzę na czarny miał, na czarne twarze, czarny pot, moja zmęczona myśl krąży wokół kawałka węgla. Takiego małego kawałka, który czasem zwalają lopatami na bruk. Znam teraz jego cenę. Wiem ile kosztuje wysiłku. Znam prawie smak tego węgla: cierpkie umęczenie i pot.

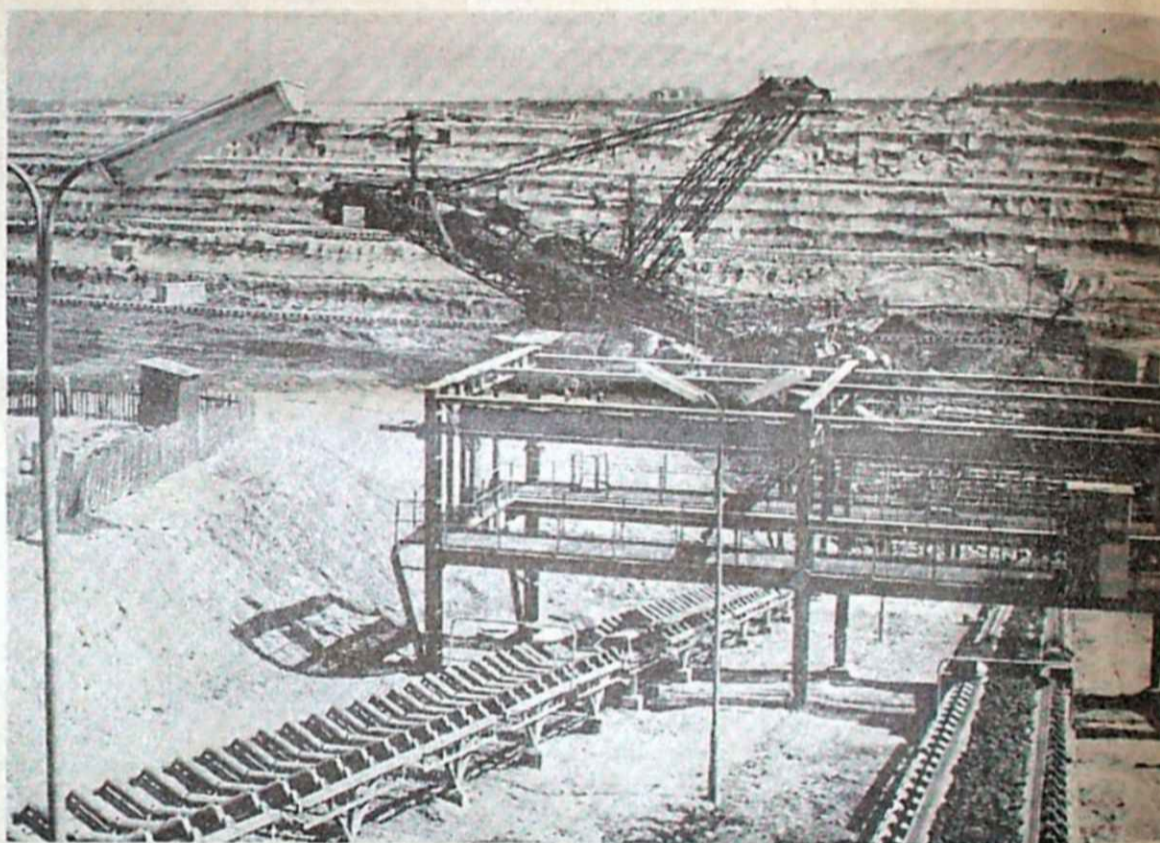
Droga powrotna jest jeszcze cięższa, trzystumetro-owy tunel zamienia się w kilometry, obtarta stopa boli mnie i jeśli idę, to tylko przez jakiś upór, przez jakąś konieczność. Koledzy literaci, młodzi i starzy, też są okrutnie zmęczeni. Twarze mamy wszyscy tak zmienione przez pył, że z trudem możemy się poznać.

Na nieswoich, obolalych nogach wychodzę z windy. W laźni zrzucamy z siebie górnicze kombinezony i widzimy, że węglowy miał przedarł się przez błędną do ciała. Odmywamy go z trudem. Myślę o rękach górników, w które ten miał się wżarł. I w płuca. Ciężka to praca. Prawie codzienne bohaterstwo.

W bramie kopalni oddają blaszkę z numerkiem i nie mogę oprzeć się wrażeniu, że poza tą bramą pozostało coś mocnego, groźnego i pięknego: praca górników, na których ustach osiada co dnia cierpki smak węgla, słony smak tej pracy, jej cierpki triumf

Fot. Jerzy Olma

Turośców — kopalnia węgla brunatnego



Listy o poezji

List z Rybnika

ANNA KAMIENSKA

GDZIE podziewa się młodzież ze wsi podlubelskich?

Otóż w internacie szkoły górniczej kopalni Rydułtowy zastałam 90 proc. młodzieży spod Zamościa, Hrubieszowa, Krasnegostawu i Janowa. Ależ to wszystko moje strony! Więc zaraz zrobiło się bardzo przyjemnie i swojsko. Jednak ten patriotyzm lokalny, sentyment do skrawka ziemi, do swojej malwy lub gruszy — to potęga. I to zostaje na całe życie. Więc kiedyś sobie już porozmawiali o poezji, o różnych zawitych sprawach sztuki, które wcale nie okazały się młodzieży górniczej — obojętne, inżynierka świetlicy zwróciła się do mnie z prośbą:

— Niech pani im powie, niech pani im wytłumaczy, żeby nie tęsknili do swoich stron, do swoich wsi. Niech pani im powie, żeby polubili Śląsk, gdzie przyjechali pracować i gdzie będą żyć.

Oczy wszystkich chłopców zwróciły się na mnie. Czekali co powiem. Czy każe im zdradzić sentyment do rodzinnej ziemi, który się odczuwa tak boleśnie z dala od swoich, gdzie wszystko jest obce, obce i inne? Co im powiem, im, którzy zostawili w domach starzejące się matki, którzy przewracają się wieczorami na swoich łóżkach, nie mogą zasnąć, tęsknią, wracają myślami do znajomego od dzieciństwa kawaleczka świata na Lubelszczyźnie.

Nie, nie mogę im powiedzieć, aby przestali tęsknić i kochać. Nie można na zamówienie przestać kochać ani pokochać coś nowego. Taka tęsknota do rodzinnej ziemi, do rodzinnej wsi — jest także wartością moralną, której nie można się wyrzekać. Ona kształtuje człowieka. Ona czyni także poetów. Ukształtowana przez jedno „miejsce na ziemi” wyobraźnia i wrażliwość wraca doń często jak do źródła, odświeża się w nim i z niego czerpie. Jeśli każdy człowiek, jak mówi Różewicz, jest w pewnym sensie poetą — to tęsknota i sentyment do ziemi, do krajobrazu, do rodzinnego domu jest na pewno jakąś potencjalną poezją ludzkiego serca. I przeto do młodzi górnicy z Lubelszczyzny stali mi się jeszcze bliżsi.

Nie agitowałam ich do odrzucenia z serca starych sentymentów, nie agi-

towałam ich też do Śląska. Wiem przecież, że to przychodzi samo. Człowiek zakorzenia się tam, gdzie pracuje, gdzie poprzez pracę — zostawia kawał siebie, swego życia. Niechęć do obcych stron ginie, gdy sprawy nowego terenu stają się naszymi sprawami życiowymi, gdy bierzemy w nich udział — na swoim fragmencie życia, na swój sposób je kształtując. Polska jest przecież jedna.

Takie były nasze rozmowy w szkole górniczej. Wyniosłam z nich złudne może wrażenie, że zostałam zrozumiana także w tym, co miałam do powiedzenia na temat poezji i w poezji.

Nie było to zresztą jedyne literackie spotkanie na Śląsku. W tych dniach rozbiła się na Śląsku bania z poezją. Rybnicki Klub Literacki przy Fabryce Maszyn zaprosił wielu pisarzy i zorganizował w terenie około 50 spotkań literackich: w szkołach, w domach kultury, klubach, internatach. Były to drugie już Rybnickie Dni Literatury, wielka impreza o niespotykanym rozmachu i ambicjach. Po prostu grupa młodych poetów postanowiła ściągnąć do Rybnika, bez żadnych zrzekań dla siebie korzyści, wybitnych pisarzy — i udali im się to. Śląsk okazał się chłonny na kulturę, przyjazny dla poezji i gościnny. Nawzajem pisarze wywozili ze Śląska jak najlepsze wrażenia. Nagle na Śląsku

poczuł się szanowany, doceniani, fotografowani. W Warszawie dawno odwo- czaili się do atmosfery społecznego i oficjalnego szacunku.

Dość ciężki to chleb — takie literackie spotkania. Trzeba się uczyć umiejętności nawiązywania kontaktu z zawsze niewiadomą widownią, trzeba zawsze improwizować, trzeba mówić o tym, co nie lubi słów i sformułowań, o własnej pracy twórczej, wielokrotnie przewyżniając wewnętrzne opory, ohydny inteligencji sceptycyzm i niechęć do wszelakiego aktorstwa. Ale trzeba się uczyć tego wszystkiego usilnie. Może wkrótce przy braku papieru i wobec szczupłości stron w pismach literackich — poeci zamienią się znów w bardów chodzących ze swoją poezją po ścieżkach i drogach naszego kraju, roznoszących swoją poezję osobliście na własnym grzbiecie czytelnikom-słuchaczom?

W tym gorzkim przypuszczeniu jest też promyk nadziei. Może niedosyt literacki — obudzi głód poezji? A może poezja w częstszym kontakcie z odbiorcą — stanie się ludzkiem bardziej życzliwa i przychylna? Nie porzucając swoich zdobyczy i ambicji artystycznych — może powróci do źródła humanizmu — jak ten, co z dala od rodzinnego domu — powraca do niego we śnie, w ożywionej tęsknocie?

Jednakże wybieram kształt dzienniczka podróży, choć wyekspluatowałam tę formę w zeszłym roku po wyjeździe na Krym. Tak, niech będzie dzienniczek, bo podając fakty główne w otoczeniu faktów satelitarnych eliminuje do pewnego stopnia obcesowość sądów osobistych autora na rzecz wniosków samodzielnie wysnutych przez czytającego.

...W danym wypadku wniosków o korzyściach występów gościnnych Teatru im. J. Osterwy w Jugosławii.

Zakopane, 13 października.
Noc, godzina pierwsza

Uff! Nareszcie, po umyciu się, można coś niecoś zanotować. Ten, co tęskniłby do przygód wędrowek dyliżansów, niech nie narzeka na autokary PKS. Mielimy oglądać zachód słońca w Zakopanem, tymczasem dotarliśmy tu dopiero o północy. A zaczęło się planowo. Autokary przybyły z Warszawy z wczesnym porankiem i zostały chyba zlustrowane przez naszych speców. Autokar nr 2, w którym mam z góry wyznaczone miejsce, podstawiono szykownie przed wejście teatralne, z minimalnym opóźnieniem trzech kwadransów. Ruszyliśmy o 9.45. O luftpauzę wcześniej wymknął się niereprezentacyjny z podwórza teatru autokar nr 1, z czółówką wyprawy na Jugosławię. Usiłowaliśmy nie spuszczać z oka tego przewodniego wehikułu, ale gdzie tam — pomknął chyżo w dal pozostawiając nam wolność wyboru tempa.

Jakoż, zajęci szacunkiem personalnego rozlokowania 63 osób w obydwu autokarach i innymi nie mniej pasjonującymi tematami, dobrneliśmy w przeciętnym czasie autobusowym do Kiele, gdzie nabrano paliwa. Na jednej z ulic miasta Żeromskiego pomachali nam wesoło rękami stojący przed restauracją nasi przywódcy. Myśmy natomiast mieli ambicję spożywania obiadu w Krakowie! Gdzieś około godziny 16 stanęliśmy na Małym Rynku. Na to samo miejsce przykazano przyjść o 17. Przychodzę punktualnie, po obiedzie

wych dzięki dynamicznej inscenizacji znakomitego reżysera jugosłowiańskiego Jovana Putnika Zachwycała też publiczność lubelską „Przebiegająca” („Izbi- raćca”), blaha komedyjka dziewiętnastowieczna, ale jakąż będąca uczta dla oczu, opatrzona wdzięczną oprawą muzyki salonowej! Zastanawiam się właśnie w tej nocnej godzinie duchów, czy nasza „Królewna przedmieścia”, którą wzięliśmy do Nowego Sadu, jest odpowiednią wartością wymienną. Leon Schiller, a za nim — nasz utalentowany reżyser i scenograf Jerzy Ukleja, dodał dużo pikanterii do naiwnego wodewilu Krulmowskiego, nam się to podobało, darzymy sentymentem Bielany krakowskie i klimat Zielonego balonika, ale może Serbowie i Słoweńcy (bo i w Lublianie będziemy) kochają paprykę tylko na talerzu, na scenie natomiast wolą cukierek, albo też poważny dramat czy wręcz operę, nie jakieś tam wodewile! A może „Wielki Bobby”, którym też pragniemy zjednać sobie przyjaciół naszego artyzmu, jest za statyczny w takiej postaci, jaką nadał mu uroczy aktor, lecz bynajmniej jeszcze nie gotowy reżyser, Jan Machulski? Stop! Po co sobie spędzać sen z oczu. Czyż dyrektor Torończyk nie wyjeżdżał w zeszłym roku na rekonesans do Jugosławii w warunkach wszelkie przeciwności (a więc i opieszale wnioski) wykluczający, on wszystko sam najlepiej wie. Spijmy spokojnie.

Nowy Sad, 16 października, grubo po północy

Największe obawy się nie ziściły. Wszystko jest w porządku. Gdyby nie... ale nie wybiegajmy na przód.

Po smacznym wyspaniu się w „Morakim Oku” spożyłam smakowite śniadanie w kawiarni „Orbis”, nie oszczędzając złotych polskich, których pozostałość i tak miała być wpisana do deklaracji. Po- tem popędziłam aż pod skocznie. Cóż za pogoda, du- sza, rzecz można, pieje hymn do słońca (a krakawy jakieś ponuraki, że będzie śnieg!). Dawno, dawno nie byłam w Zakopanem. Ciekawili mnie zasze zmiany. Takich istotniejszych na oczekiwaniu nie do-

dwaj bratanki!) ruszamy „truchcikiem” do Bu- dapesztu. Kobiety przesiadły się z wozu pozabawio- nego szuby do autokaru pierwszego. Kol. Cywiński (dobra dusza!) oddaje mi swoje miejsce.

Przyjechaliśmy do pięknej stolicy Węgier o szó- stej rano, planowany nocleg w hotelu diabli wzięli. Ale tak czy owak trzeba stanąć w owym hotelu. Bodać się tam umyć. Slicznie się nazywa: Hotel Lido. Adres — Nanasi utca, Ba, żeby kto wiedział, już nie mówię w warszawskim Pagaracie (tyle się nie wy- maga) — ale choćby w Budapeszcie: gdzie to jest? Błąkamy się długo, siabo wspomagani niepewnymi wskazówkami przechodniów, podawanymi w języku niepodobnym do żadnego z tych, które się zna. Wreszcie jest, jest to „Lido”. Znajduje się na wygwizdowie. Do centrum odległość niesamowicie wielka. A więc jesteśmy skazani niejako na bezdom- ność: gdy się raz wyjdzie z tego hotelu, to już się „doń” nie wróci aż do wyjazdu, wyznaczonego na godzinę siedemnastą. Zatem o żadnym przykładaniu głowy do poduszki nie może być mowy. Autokary ruszają do warsztatów na reperację, a my, ludzie żądni wrażeń (nie co dzień jest się w cudnym mieście naddunajskim), zawiłymi szlakami autobusowy- mi do gmachu Parlamentu itd. Zachylamy się podziwem, tylko na żadne rozsądniejsze zwiędzenie nie ma czasu. W dodatku trzeba zmienić 150 zł na forinty. Gdzie się tego dokonuje? Nikt dokładnie nie wie. Na razie tropimy przedstawicieli naszej admini- stracji, którzy udali się w jakimś interesie do am- basady PRL. Wszak jesteśmy na paszporcie zbioro- wym: Wyjaśnia się jednak, iż można wymienić forsy indywidualnie na Dworcu Głównym, okazując polski dowód osobisty (Węgier, Polak dwa bratan- ki!)

Zbliża się godzina 16. Nie bez trudu łapię tak- sówkę, by pędzić do „Lido”. No już! Na liczniku 36 forintów. Warto. Za kwadrans siedemnasta wylega- my z manelami przed hotel. Przychodzi podkurowa- ny nasz autokar nr 2. Jedziemy tankować benzynę pozostawiając przed „Lidem” towarzyszy z autoka- ru nr 1 w oczekiwaniu na bliżej nie określony mo- ment przybycia ich wozu z warsztatów.

Budapeszt jest dla naszych szoferów labiryntem. Autokar długo błądzi po jego ulicach w poszukiwa- niu wyjazdu na szosę prowadzącą do jugosłowiań- skiej granicy — niech warszawski PKS nie spodzie- wa się brawa! W pewnym momencie zatrzymujemy się na zacisznym placu i słusznie: kierowcy, przez cały dzień zaabsorbowani remontem wozów, muszą wreszcie zjeść obiad. Zjedli. Dochodzi dziewiętnasta. Można by już jechać do tej Jugosławii — ziemi obie- canej, tylko oto szkopol: ośrodek dyspozycyjny jest w pierwszym wozie, a nie wiemy, co się z nim dzieje. Przedsiębiorczy kol. Wiszniewski, sekretarz POP, kor- rzystając z miejskich środków komunikacyjnych uda- je się do warsztatów samochodowych. Wraca z hio- bową wieścią, że autokar nr 1 jest jeszcze w remon- cie. Ano cóż, tamci pewno zanoszą w dalekim „Lido” — myśmy spalili za sobą mosty. Godzina 20. Prze- wodnik naszej grupy musi heroicznie zdobyć się na samodzielną decyzję. Jedziemy.

Noc. Oto dotoczyliśmy się do strażnicy na drugim krańcu Węgier. Do wozu wchodzi z uprzejmym pol- skim pozdrowieniem przedstawiciel tutejszej władzy Brzmienia słowiańskiej mowy nie są mu obce, na- wiązuje się nawet dyskusja, z której wynika, że nie przekroczyliśmy tak ot na oczekiwaniu wyjazdowej gra- nicy węgierskiej: p. Lucyna Suchecka, figurująca w paszporcie kierownika grupy b wybrała autokar z grupą a. Rzecz jest prosta. Ale nie dla władzy gra- nicznej. — Gdzie jest obywatelka polska Lucyna Su- checka? — W drugim wozie. — A gdzie drugi wóz? — Nie wiemy, może nadjedzie rano. — Zatem poce- kami.

Łatwo powiedzieć „poczekamy”. Koledzy obdarzeni ostrzejszym wzrokiem dostrzegają po drugiej stro- nie kordonu gromadkę naszych jugosłowiańskich amifitronów, wyciągających ku nam bratnie ramio- na. Czas wleźć się gnuśnie. Aż wreszcie gościnni Węgier, który pewno już zrzucił z siebie telefonicz- nie ewentualną odpowiedzialność, odpuszcza grzecl Sucheckiej i za chwilę ścisłamy dłonie przyjaciół. Wielu z nich znamy z zeszłorocznych występów goś- cinnych w Lublinie. Przedstawiciel Radia nowosad- skiego podsuwa mi właśnie mikrofon, bym powie- działa co myślę o tych występach. Mówię co myślę — że był to wielki sukces, za który chcielibyśmy się godnie zrewanżować.

Po koleżeńskim spotkaniu w restauracji nad po- bliskim jeziorem Pallé, przy suto zastawionym stole i namiętym dźwiękach czardasza, jedziemy ciepłym jugosłowiańskim autokarem do oczekującej nas sto- licy Vojevodiny. Już blisko. O 6 rano dnia 15 paź- dziernika stajemy przed komfortowym Hotelem Park. Nareszcie wygodne łóżko. Ale teraz spać? Nie ja Najpierw kąpiel, następnie trochę się zagospodaro- wać, no i — do teatru, bo śliczny Hotel Park jest daleko, daleko od centrum. A ma być konferencja prasowa.

Miała być, jednak została przełożona na dzień na- stępny, ponieważ grupa czołowa przyjechała dopiero około południa (rzeczywiście przenoconali w Buda- peszcie).

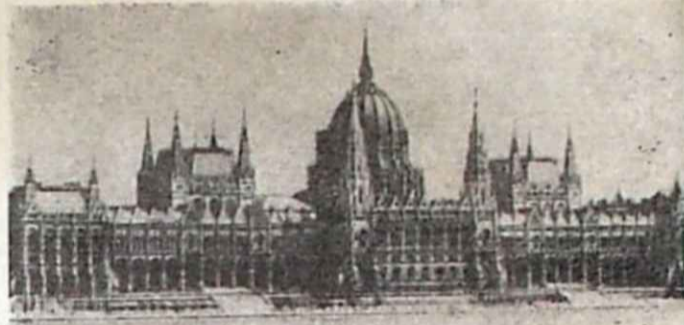
Północ dawno minęła, ja zaś piszę i piszę jak gdy- bym przysięgła odwyzczać się od porządnego spa- nia. Chcę tylko jeszcze powiedzieć, że pierwszy spektakl w Nowym Sadzie poszedł gładko, choć „Kró- lowa przedmieścia” straciła na cudzej scenie swoją wdzięczną lekkość. Cóż dziwnego — taka podróż. Poza tym grano trochę na zasadzie pantomimy na- dużywając ekspresyjny gestu i ruchu gwoili uprzę- stępnięcia treści podawanej w obym języku. Ale po trzecim akcie kurtyna idzie w górę niezliczoną ilość razy. Wielki aplauz, owacje nadzwyczaj serdeczne. Powódz kwiatów. Przemówienia dyrektorów: Ha- dźica i Torończyk, tłumaczone z dezinwolturą przez prof. S. Papierkowskiego. Po spektaklu lampka wina, którą podejmuje gości przewodniczący MRN Nowego Sadu w zabytkowych salach Petrovaradzińskiej twier- dzy, położonej malowniczo na wzgórzach nad Dunajem. Spotkałam wielu czarujących ludzi...

Opis tych spotkań i charakterystykę jugosłowiań- skich dziejów Teatru im. Osterwy powierzyłam dal- szym kartkom dzienniczka.

Teatr i varia

(1)

MARIA
BECHCZYC - RUDNICKA



Budapeszt: Parlament

u Polera (jakże podłym!). Autokaru nie ma. Wpadam w panikę. Ani śladu naszego domu na kółkach! Ale jest trzech kolegów, którzy wiedzą, że pojechał do warsztatów dla naprawy ogrzewania. W tym momencie trzeba by odetchnąć z ulgą, gdyby stwierdzenie mankamentu w początkowej fazie podróży nie wzbudzało pewnych zastrzeżeń. Wreszcie autokar nadjeżdża. Doszło jeszcze półgodzinne opóźnienie. Krajobraz niebawem ginie w ciemnościach, zapadamy w łagodną drzemkę, ukolysani nadzieją na niedalekie już łóżko w pokoju hotelu „Morskie oko”.

Lecz co za pech! Gdy dzieli nas długa droga, należałoby zaleźć 28 kilometrów, wóz traci oddech i z wolna się zatrzymuje. Świeca nawaliła. Zresztą bo ja wiem co, jestem laikiem w tych sprawach, mam dopiero książeczkę samochodową PKO. Szoferzy (jest ich para do każdego wozu) grzebią w silniku. Minuty składają się na godziny. Od czasu do czasu panowie koledzy popy- chają autokar, motor trochę powarczy, ale nic z tego! Podobno o trzy kilometry od fatalnego punktu na zrosie — stacja kolejowa. Kol. Wiszniewski i jeszcze ktoś idzie zatelefonować do Zakopanego, do dyrektora Torończyka, który wraz ze swoją ekipą już zapewne kładzie się na spoczynek w „Morskim oku”. Równocześnie jeden z szoferów wysyła depeszę do Warsza- wy, do bazy, żeby przysłali do Zakopanego wóz za- stępczy. Na razie o jedenastej wraca po nas nasz nr 1.

Późno. Jutro czeka nas długa droga, należałoby przerwać pisanie. Ale nie mogę zasnąć. Nurtuje mnie trema. Nie jakaś pospolita, osobista, tylko, że się tak wyrażę, społeczno-kulturalna, przed występem naszego teatru, który podjął się reprezentacji polskiej kul- tury teatralnej. Różne myśli tłoczą się w mózgowni- cy, przede wszystkim o wielkich możliwościach wy- miany kulturalnej, jakie rokuje niedawne przybycie do Polski sekretarza stanu do spraw zagranicznych SFR Jugosławii Koczys Popovica. Myślę też o tym, że nie zawsze przedstawienia nawet najznakomitszych na- zych teatrów przywiezione do obcego kraju podobają się jego publiczności. Pamiętam niepowodzenie spek- taklu Teatru Nowej Huty „Jakubowski i pułkownik” na Międzynarodowym Festiwalu „Teatru Narodów” w 1958 r. w Paryżu. Zaznaczali wtedy recenzenci, że poszukiwanie wolności wcale nie oznacza, aby się jej musiało szukać za wszelką cenę... No, zarzut takiego czy innego poszukiwania nowości chyba nas nie spotka — łamały się we mnie myśli — to już się skończy- ło przeszło jakiś rok temu. Zresztą co Paryż to nie Nowy Sad. Ale z drugiej strony jeszcze w 1959 r., przy okazji przyjazdu do Polski Jugosłowiańskiego Teatru Dramatycznego z Belgradu, mówiło się u nas w prasie o bujnym życiu teatralnym słowiańskiej Socjalistycz- nej Federacyjnej Republiki, o niesłychanym nasyceniu całego terytorium między Dunajem i Adriatykiem zespołami zawodowymi i amatorskimi. Jugoslovensko Dramsko Pozorište godnie reprezentowało sztukę sceni- czną narodów Jugosławii (na scenie jego gmachu mają wystąpić nasi aktorzy w Belgradzie). Srpsko Narodno Pozorište w Nowym Sadzie, założone w roku 1861, ma znowu wspaniałe tradycje artystyczne. Teatr ten występował w Polsce już dwukrotnie: w 1958 r. w Łodzi, Warszawie i Krakowie, a pokazany w zeszłym roku w Lublinie spektakl „Niesamowitego kraju” („Stradija”) Domanovicia porwał naszych widzów ostrością satyry, czytelnej mimo trudności języko-

strzegłam. Zresztą trzeba było uwijać się szybko z oględzinami, ponieważ na dziesiątą wyznaczono od- jazd na Łysą Polanę.

No tak, na godzinę 10 karnie przydzwigaliśmy wa- lizy na dół do hallu. Ale biada naiwnym: autoka- ru wymiennego ani widu, ani slychu. Kursuje po- głoska, że wyruszył z Warszawy nocą i lada mo- ment nadjedzie. Momenty upływają w natężonej kontemplacji rogu, spoza którego ma wychynąć upragniony pojazd. W obserwacji mocno zaangażo- wana jest również załoga nieposzkodowanego auto- karu nr 1, gdyż tym razem autokary muszą przy- być solidarnie na łysopolańską rewizję celną.

Nadarza się jednak atrakcyjna sposobność skró- cenia czasu: proszę pana Nadulskiego*, by opowiedział coś niecoś o swej interesującej po- dróży do Danii z ministrem Galjńskim, z której do- piero co powrócił. Proszę też rozmówcę o napisa- nie reportażu dla „Kamery”.

Niepostrzeżenie nadchodzi godzina 13. No i na- reszcie nasz wóz.

Łysa Polana, jak wiadomo, tuż-tuż. Skąpiana jest w jak najjaśniejszych promieniach, więc znowu był- by hymn do słońca, gdyby teraz z kolei nie powstał kłopot z autokarem nr 1. Okazało się przecie, że i temu czegoś brakuje, a mianowicie jakiegoś stemp- la na papierku, o którego potrzebie wiedza władze graniczne, a my się dowiadujemy dopiero teraz. Wóz zostaje odesłany do Zakopanego. Nasze czynniki dy- rekcyjne telefonują na gwałt do Warszawy, do Głównego Urzędu Celnego. Tytaniczne zadanie w nie- dziele. Jednakże w końcu o godzinie 16 przekra- czamy granicę czechosłowacką.

Godziny opóźnień zakumulowały się w sposób ru- jnujący nasz pierwotny plan. Na odcinku najbardziej malowniczym spotkał nas kompletny mrok. Efektowne serpentyny zawieszono nad przepaścią zgady- wało się tylko po kołysaniu i zgrzytach wozu. Brac- two stopniowo ucichło pograżając się w śnie.

Nagle — huk! Co się stało? O moja broda! Pred- ko chusteczkę. Pełna krwi! Nie jestem jedyną ofia- rą kraksy: z różnych punktów wozu słycały lamen- ty. Na szczęście „podsumowanie” dało niezbyt groź- ną ewidencję: tu i tam trochę śniegów, zachwiany zęb, nabrzmiewający nosek: Popamiętam tę miejscow- ość: Wielki Krzyż, 18 kilometrów od granicy węg- ierskiej. Nasza przednia szyba poszła w drobny mak, a autokar nr 1 ma z tyłu brzydkie zgniecenie. Cóż się okazało? Tym razem solidarna jazda nie wyszła nam na dobre: gdy przed autokar nr 1 wy- skoczył niespodziewanie rowerzysta, autokar nr 2 wjechał na wóz, który gwałtownie zahamował.

Obyż tylko szyba i guzy! Ale coś teraz nie grało w motorze świeżo przyslanego z Warszawy autokaru. Jakoś jednak dowleliśmy się do granicy węgierskiej. Ciepły pokój. Naradzamy się wspólnie: House of Lords (autokar nr 1) i House of Commons (autokar nr 2).

Po łaskawej nocnej odprawie celnej (Węgier, Polak

* Kierownik Wydziału Kultury PWRN w Lublinie E. Na- dulski towarzyszył nam w wyprawie do Jugosławii, oddzia- lując na jej uczestników dodatnio w wielu momentach swą pogodą i zyczliwością.

RADOŚCI I TROSKI...

Rozmowa z dyrektorem Państwowego Teatru im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie, Stefanem Winterem

— Teatr rzeszowski pracuje w specyficznych warunkach jedynej sceny na terenie województwa i zapewne ta sytuacja nie pozostaje bez wpływu na politykę repertuarową?

— Oczywiście, i z sytuacją tą musimy się poważnie liczyć. Nasz teatr jest jedyną sceną zawodową teatru dramatycznego na Rzeszowszczyźnie, na obszarze zamieszkałym przez ponad półtora miliona ludzi. Gramy dla mieszkańców wsi i małych miasteczek, dla widzów osiedli robotniczych i środowisk inteligenckich, przygotowujemy specjalne spektakle dla młodzieży szkolnej. I to jest właśnie specyfika pracy naszej sceny, która musi wystawiać różnorodne pozycje repertuarowe, właściwie musi grać wszystko...

— Gdy do trudności tych dodamy jeszcze szczupłość zespołu aktorskiego...

— Nasz zespół składa się z trzydziestu aktorów. Przy takiej obsadzie w dodatku przy podziale zespołu na dwie grupy realizujące równocześnie dwie pozycje repertuarowe, trudno podejmować sztuki wieloobsadowe. U nas ci sami aktorzy muszą grać wszystkie rodzaje sztuk, od klasycznych do współczesnych, od farsy do dramatu...

— Jak więc wygląda repertuar teatru w minionym i obecnym sezonie?

— W minionym sezonie wszystko na ogół poszło gładko. Daliśmy ogółem dziesięć premier, złożyły się na nie następujące pozycje współczesne: „Czwarty” Simonowa, „Przygoda z Vaterlandem” Kruczkowskiego, „Niepokój przed podróżą” Brószkiewicza, „Patrycja” Bettiego, „Słowik” Lamoureaux, „Trzy kobiety” Świrszczyńskiej. Z klasyki: „Medea” Eurypidesa, „Pierścień wielkiej damy” Norwida, „Świętoszek” Moliere. Spektakl ten pobli rekordy frekwencji, pokazany był dziewięćdziesiąt razy, obejrzało go ponad sto trzydzieści siedem tysięcy widzów. Obecnie w związku z Dwudziestolecie PRL chcemy szerzej uwzględnić polską dramaturgię. Wystawiliśmy „Ruchome piaski” Piotra Chocyńskiego, później chcemy dać Żeromskiego „Ludzi bezdomnych”, Szaniawskiego „Kowala, pieniądze i gwiazdy”, Wyspiańskiego „Wesele”. To są sztuki wymagające dobrej obsady aktorskiej i reżyserskiej, a w wielu wypadkach, jak np. w „Weselu”, licznego zespołu. Odrębne miejsce zajmuje polska dramaturgia współczesna. Z tego zakresu będziemy chcieli wystawić przynajmniej trzy pozycje, jeżeli zaś chodzi o dramaturgię światową, to mamy obecnie w repertuarze „Fizyków” Dürrenmatta. Zamierzamy poza tym zrealizować „Ryszarda II” w związku z przypadającą obecnie rocznicą Szekspira.

— Teatr im. Wandy Siemaszkowej utrzymuje od chwili swego powstania w roku 1944 bliskie kontakty z terenem województwa, więc może coś o tym...

— Jeździmy bardzo dużo, prawie 50 procent naszych przedstawień idzie w teren. Mimo trudnych warunków, niewielkich sal, ciasnych scen itp., staramy się docierać z naszymi przedstawieniami do jak najliczniejszych miast, miasteczek, a nawet wsi. Jest to ciężka praca i muszę tutaj podkreślić, że zespół wywiązuje się z niej bez zarzutu. Nasi aktorzy grają często w nieopalanym salach, powracają z objazdu w późnych godzinach nocnych, by rano o godz. 10 znaleźć się na próbie... Te trudy wynagradza nam widownia. Cieszymy się zaufaniem widzów, nie gramy dla pustych krzeseł i dlatego aktorzy są bardzo związani z teatrem i naszym terenem.

— Jak nam wiadomo, konkurs „Wies bliziej teatru” spotkał się ze zrozumiałym zainteresowaniem ze strony społeczeństwa Rzeszowszczyzny. Czy można zapytać, jak wygląda udział teatru w tym konkursie?

— Członkowie naszego zespołu biorą udział w spotkaniach z publicznością. Bardzo często są to spotkania z ludźmi, którzy rzadko albo nawet wcale nie chodzą do teatru. Uczestniczyliśmy niedawno w takich spotkaniach i mogę powiedzieć, że są one bardzo przyjemne, żywe, społeczeństwo interesuje się wszystkimi, co będziemy grać, dlatego te sztuki, a nie inna, jak należy rozumieć ten czy ów szczególnie spektaklu itp. Dla nas spot-

kania te, pozwalające bliżej poznać widza, są bardzo cenne.

— A teraz proszę o parę słów o innych „spotkaniach”. Imprezą, która zyskała sobie w Rzeszowie ogromne powodzenie, a która została zorganizowana z inicjatywy teatru — są tak zwane „Rzeszowskie spotkania teatralne”, właściwie rodzaj festi-

wału scen ziem sąsiadujących z województwem: biorą w nim udział poza teatrem rzeszowskim, teatry krakowskie, teatr z Lublina, Kielc, Tarnowa.

— Dwukrotnie już odbyły się „Rzeszowskie spotkania teatralne”. W tym roku zostały odwołane ze względu na zagrożenie epidemią. W ramach obchodów „Dni Rzeszowa” po raz trzeci odbędą się w przyszłym roku. Zamierzamy wprowadzić pewne innowacje: dotychczas na spotkaniach nie przyznawano żadnych nagród, teraz chcielibyśmy wprowadzić swego rodzaju plebiscyt widowni i na tej podstawie przyznawać jakieś nagrody. Ministerstwo Kultury i Sztuki ustosunkowało się do naszych projektów pozytywnie, mam więc nadzieję, że już w przyszłym roku uda się je zrealizować... Pragnę dodać, że z teatrami biorącymi udział w rzeszowskich spotkaniach łączą nas bliskie stosunki, dotyczy to zwłaszcza teatrów krakowskich i lubelskiego. Teatr im. J. Osterwy odwiedza Rzeszowszczyznę również poza festiwalem i cieszy się sympatią naszej widowni.

— A propos widowni: ile osób obejrzało przedstawienia rzeszowskiego teatru w ubiegłym sezonie? Jak przedstawia się sprawa frekwencji?

— W minionym sezonie mieliśmy ponad 137 tysięcy widzów. W zasadzie nie odczuwamy trudności z widownią.

— Czy w ramach współpracy teatru ze środowiskami artystycznymi większych miast zapraszani są do Rzeszowa reżyserzy, scenografowie, aktorzy?

— Obecnie mamy czterech własnych reżyserów: Erwan, Pleśniarowicz, Turska, Winter. Stąd też nasze potrzeby są nieco mniejsze. Niemniej zapraszaliśmy w ostatnim okresie sporo osób z innych środowisk. Reżyserowali u nas gościnnie: Gustawa Błońska-Kondratowa z Warszawy i Józef Maśliński z Krakowa. Z aktorów w poprzednim sezonie dużym uznaniem i sympatią darzyła nasza publiczność Czesława Wołłejkę z warszawskiego

Teatru Polskiego. Stosunkowo często zapraszamy do współpracy scenografów; projektował dla nas: Otto Axer, Karol Gajewski, Józef Szajna, Waclaw Ujejski.

— Na zakończenie chcielibyśmy zapytać co Pan, jako dyrektor i kierownik artystyczny teatru, uważa za najpilniejsze zadanie kierownictwa?

— Najważniejszym zadaniem jest dla nas powiększenie — oczywiście przy pomocy władz wojewódzkich — zespołu aktorskiego. Pozwoliłoby to wzbogacić repertuar, zwiększyć liczbę premier, rozszerzyć nasze kontakty ze społeczeństwem województwa rzeszowskiego.

Z dyr. S. Winterem rozmawiał Zbigniew Wawszczak



Fot. W. Szostak

Stefan Winter jako pacjent Möbiusa w reżyserowanych przez siebie „Fizykach” Dürrenmatta.

ATAK NA WIEŚ

ALEKSANDER GABRUSIEWICZ

NIE, tym razem nie z wojskowości. Bitwa, o której tu będzie mowa nie ma nic wspólnego z wojną. To historia zupełnie bezkrwawa, aczkolwiek aż cisną się pod pióro takie wojskowe określenia jak ofensywa, agresja. Bo jakże inaczej określić tegoroczne zamierzenia kulturalne Związku Młodzieży Wiejskiej — organizacji, która ma już na swoim koncie niemałe osiągnięcia w dziedzinie oświaty, kultury czy organizacji wypoczynku na Białostocczyźnie.

Konkurs dla artystów — amatorów pod hasłem „Wszyscy na scenę”, „Wielka olimpiada czytelnicza XX-lecia”, kurs dokształcający z zakresu siedmiu klas, konkurs rysunkowo-malarski dla młodzieży, akcja umuzykalniająca, organizacja klubów prasy i książki we wsiach — już wymienienie samych tylko tematów poszczególnych akcji napawa zdumieniem.

Ale zajmijmy się bliżej tymi poczynaniami.

Celem konkursu „Wszyscy na scenę” jest wyłonienie talentów estradowych, a więc piosenkarzy, recytatorów gawędziarzy, instrumentalistów. Początkowo zamierzano zorganizować taki konkurs wyłącznie w Białymstoku i ograniczyć się do jednej imprezy, jednak po głębokim rozważeniu sprawy Zarząd Wojewódzki postanowił akcja ta objąć również wszystkie powiaty. Bo przecież tam najbardziej potrzebne są takie imprezy. Żeby zaś inicjatywa nie była przyswajaniem słownym ogniem, w dalszych planach organizacji jest tworzenie niewielkich zespołów estradowych w oparciu o wyłonionych laureatów. Oczywiście w tym nietatym zamierzeniu organizatorzy, tj. ZMW i Straż Pożarna, liczą na wydatniejszą niż dotąd pomoc metodyczna Wojewódzkiej Poradni Kulturalno-Oświatowej oraz powiatowych domów kultury. Natomiast klubotów strawiła jak zwykle doborę odpowiednich tekstów (mówi o nich na propozycjach szmiry czy w następstwie razie koniowaniu w nieskończoność Katerbskiej i Bielekiej). Dlatego też ZW ZMW nosi się z zamiarem ogło-

MARIAN SKOWRON

Powroty

Od głowy odlatują zużyte już myśli nie dziękując nawet za gościnę i opiekę przytulną bo przecież każda myśl pielęgnuje pochłonięty przez nią przenikam świat docieram do najdalszych zakątków wszechświata wgnieciony w bryłę meteorytu spadam i rozbijam się o glob ziemski lecz już nowa myśl unosi mnie i zaplątany w jej treść pędzę gdzieś tam ale zawsze powracam tu skąd wyszedłem.

Pejzaż wsi

Ta wieś z tym placem niby agorą jest miejscem spotkań rozmów dyskusji zielone uliczki przedłużenie ramion do parku Gromadzkiej Rady słońce odbite o biel tynku zagłada w oczy wdziara się pod powieki tu noc kładzie ręce w ciemnych rękawiczkach odprowadzając utrudzony dzień by pograżyć świat w czerni.

szczenia konkursu na utwór estradowy i zainteresowania nim Klubu Literackiego. Korzystając z okazji Zarząd Wojewódzki apeluje niniejszym do potencjalnych uczestników imprez o zgłaszanie swych kandydatur bezpośrednio do zarządów powiatowych.

Bardziej oświatowy charakter ma inna akcja Związku, a mianowicie Wielka olimpiada czytelnicza XX-lecia PRL, która trwać będzie do wiosny 1964 r. Będzie to impreza również o charakterze stałym, co roku pod innym hasłem. Literatura wytypowana do konkursu została podzielona na kilka działów, jak beletrystyka, książka popularno-naukowa i in.

Jak przebiegać będzie olimpiada? Otóż w powiatach dokonuje się zestawów z poszczególnych dziedzin po jednej pozycji (włączając w to również książki o tematyce regionalnej). Do olimpiady staje dowolna liczba osób z kola. Po przeczytaniu obowiązkowych pozycji wspólnie dyskutuje się nad nimi, przeprowadza spotkania z autorami i krytykami. Potem następuje zakończenie konkursu w formie zjazdu — zjazduli na tematy poruszane w lekturze. Odpowiedzi są prozresywnie punktowane i w ten sposób dochodzi się do zwycięzcy na szczeblu krajowym.

Równie pożyteczną akcją jest organizowanie przez Związek Młodzieży Wiejskiej dla swych członków dokształcania z zakresu siedmiu klas. W naszym województwie jest około 3,5 tysiąca młodzieży z nieukończoną szkołą podstawową. Przy wydatnej pomocy Kuratorium i inspektoratów oświaty ZMW wraz z OSP ma zamiar liczbę tę znacznie zmniejszyć. Dodatkową zachętą dla organizatorów kursów dokształcających (już osiem osób wystarczy do zorganizowania takiego kursu) są atrakcyjne nagrody, w postaci np. wycieczek zagranicznych dla wyróżniających się.

Innym przejawem frontowego ataku kulturalnego na wieś są akcje popularyzacji muzyki i plastyki. W pierwszej z nich ZMW pragnie nawiazac ścisłą współpracę z Orkiestrą Symfoniczną i innymi instytucjami upowszechniania muzyki (włączając w to również muzykę mechaniczną). Formy popularyzacji to audycje umuzykalniające w szkołach i świetlicach, wycieczki i abonamenty ulkowe na koncert-patronat muzyków zawodowych i studentów SN nad poszczególnymi placówkami. W ramach „uplastyczniania” wsi przewiduje się w pierwszym rzędzie ogłoszenie konkursu rysunkowego dla młodzieży szkolnej pt. „Dwadzieścia lat wsi białostockiej w Polsce Ludowej”. Po zakończeniu którego ma być otwarta wystawa objazdowa narodzonych prac, a także zapoczątkowana opieka plastyków i uczniów Technikum Plastycznego nad świetlicami gromadzkimi i domami kultury — wreszcie ekspozycja w tych ośrodkach wystaw oraz wypowiedzianie w depozyt co wartościowszych obrazów.

We wszystkich tych poczynaniach być może pomocna będzie działalność wiejskich klubów prasy i książki. Powstały już dwa takie kluby na naszym terenie (w województwie gdańskim zdążył klub (w dobrej egzaminie), a Związek Współpracy z RUCHEM pragnie stworzyć w najbliższym czasie kilkanaście dalszych. Jak widac z tego pobieżnego omówienia eks-ansu kultury na wieś program to bardzo szeroki. Zbyt szeroki, mógłby ktoś powiedzieć, zbyt optymistyczny. Oczywiście i my nie jesteśmy wolni od obaw, że nie wszystko z tych na dużą skalę zakrojonych zamierzeń zostanie zrealizowane. W praktyce stała się być może na przeszkodzie liczne trudności obiektywne, a nieraz i subiektywne, wyjdą na jaw błędy i niedopatrzności. Ale wiadomo, nie bładzi twórcy ten, co nie nie robi. A na to przecież nas nie stać. I nawet jeśli atak, o którym mowa, powiedzie się tylko w pewnej części, to też będzie to osiągnięcie. I to nie małe.

JANUSZÓWKA nie jest wsią „de-
skami zabita”. Leży co prawda
na uboczu, ale blisko głównego
traktu, a i do stolicy powiatu — Lu-
bartowa jest stamtąd bardzo niedale-
ko.

Dużo się w Januszówce zmieniło po
wyzwoleniu. Ludziom żyje się tam te-
raz dobrze, można powiedzieć dostate-
nie. Przeludniona ongiś wieś nie może
już skrzyć się na nadmiar rąk robo-
tycznych. W niejednym gospodarstwie
odczuwa się raczej ich brak. Wielu
młodych pracuje obecnie w zakładach
przemysłowych lub na budowach Lu-
belszczyzny. Sporo też dziewcząt i
chłopców uczy się w mieście. Niestety
tylko nieliczni po ukończeniu studiów
powracają do wiejskich opłotków. Mo-
że i dlatego niektóre sprawy traktuje
się w Januszówce jeszcze wciąż po sta-
remu tak jak przed kilkudziesięciu la-
ty. Mentalność tamtejszych ludzi nie
została przeorana i panują tam specy-
ficzne zasady moralne.

Taksówką P. dojechali tylko do
skrzyżowania dróg, tam oczekiwał ich
już syn z siostrą. Natychmiast po przy-
jeździe do domu Franciszka udała się
do obory. Mąż podążył tam za nią.
Po jakimś czasie oboje zjawili się w
izbie. Aleksander P. spytał żonę w
obecności Jadzi, czy dziecko zostało
ochrzczone. Otrzymałszy przeczącą
odповідź wziął z szafki butelkę ze
święconą wodą i wraz z Franciszką
udał się ponownie do obory, skąd do-
piero po dłuższej chwili powrócili.

W kilka dni później do domu P.
przyszli funkcjonariusz MO i zapy-
tał o niemowlę. Poinformowano go, że
oddano je na wychowanie. Chwilowo
skończyło się na tym. Jednak wkrót-
ce P. zostali wraz z córką aresztowa-
ni. Na podstawie wdrożonego śledztwa
i wyjaśnień podejrzanych zdołano
ustalić następujący przebieg zbrodni.

Owego dnia, gdy Franciszka i Alek-
sander P. wraz z córką i jej dziec-
kiem wracali do domu, odczekali na

P U Ł A W Y in statu nascendi

KRZYSZTOF GŁOGOWSKI

„Puławy w stadium narodzin?” —
zdziałby się ktoś przetłumaczywszy
tytuł. Ależ tak — stare Puławy, ciche-
miasteczko księżnej Izabelli, instytu-
tów naukowych i turystów powoli za-
nika. Powstają Puławy nowe.

Zostanie pałac, park, Świątynia Sy-
billi, naukowcy i prawdopodobnie tu-
ryści. Lecz miasto już nie będzie ta-
kie samo.

Jak wiadomo, do Puław wchodzi
wielki przemysł. A raczej rzeczy i
sprawy z nim związane — on sam
buduje się parę kilometrów dalej.

Na miejsce budowy przyjechałem w
niedzielę.

Niesamowite wrażenie, olbrzymi,
około sześciusethektarowy plac po-
śród lasów; pustka, cisza, nie słychać
nawet hałasu przy torach; krajobraz
niemal księżycowy, zwałowiska ziemi,
głębokie kraterki niewiadomego dla
laika przeznaczenia, polaże ziemi po-
rzucone rowami z rurami betonowymi
w środku; gdzieś daleko szkielet hali
mającej się narodzić, parę nie wykoń-
czonych jeszcze budynków.

Krajobraz opisany przez mnie bę-
dzie za parę lat zupełnie niewyobra-
zalny z zestawieniem z wczesną pa-
noramą przemysłową.

O ogromie dokonanych prac można
mieć wyobrażenie, jeśli sobie uświa-
domimy, że ten olbrzymi teren trzeba
było wykarzczać.

Za drzew przeblyskuje hotel ro-
botniczy. Dwa jasne otynkowane
gmachy, w oknach estetyczne, wzor-
zyste firanki. Pachnie tynk, jak
zwykle w nowym domu. Wewnątrz
porządek i czysto. Świetlica ma nie-
brzydki mebelki.

Ludzie wpatrzni są w śpiewającą
panią na ekranie telewizora.

Rozmawiam z portierem, pytam o
jego pracę i o „rozróbę”.

— Takich nie ma. Gdy ktoś czasem
za dużo wypije, inni go przycisną.

W drugim bloku też porządek, kartki
na drzwiach z wypisanymi nazwi-
skami mieszkańców. A więc zerwanie
z tradycją obskurnych, niechlujnych
bloków. Tak wygląda w praktyce rea-
lizacja hasła rzuconego przez dyrek-
tora Zakładów „W Puławach Meksy-
ku nie będzie”.

O panującym spokoju słyszę od wie-
lu osób. Co wytworzyło taki stan rze-
czy? Czyżby na tej jednej budowie
robotnicy przestali pić i zamienili się
w świętów? Nie, sam widziałem pa-
ru podchmielonych.

Na brak większych „rozrób” składa
się parę przyczyn. Najważniejsza z
nich to skład osobowy robotników bu-
dujących Azoty. Większość pochodzi
ze wsi, należy do grupy chłopo-
robotników, jak ich niezwykle zgrab-
nie przyjęto nazywać. Grupa ta robi
swoistą karierę, a raczej dzięki niej
robi karierę sporo socjologów i pu-
blicystów. Puławscy chłopci-robotnicy
są codziennie dowożeni do pracy i od-
wożeni do przeludnionych wsi trzech
województw: lubelskiego, kieleckiego
i warszawskiego. Odległości są znacz-
ne, sięgają kilkudziesięciu kilometrów.
Nieduże skrawki ziemi dzielonej z po-
kolenia na pokolenie nie mogą dać
im utrzymania, ani zapewnić odpo-
wiedniego standardu życiowego. Są
jakby zawieszani między wsią i mi-
astem, a przemysłem i miastem. Zar-
obione pieniądze pozwalają na zaop-
atrzenie się w dobra produkowane
przez przemysł, jak radia, motocykle

itp. Nie inwestują dużo w ziemię,
choć wiąże ich z nią dochód, przy-
wiązanie, strach przed nowym, prze-
de wszystkim trudność otrzymania
mieszkania w mieście. Ich przodkowie
emigrujący do zagłębi przemysłowych
Niemiec i Francji bardzo chętnie za-
mieszkiwali w małych domkach ro-
botniczych z ogródkiem. Niestety u
nas te sprawy nie są należycie zorga-
nizowane.

Takie zawieszenie jako zło koniecz-
ne nie wychodzi przemysłowi na ko-
rzyść. Ludzie niezbyt łatwo przyzw-
yczajają się do nowych warunków. Nie
ma poszanowania pracy, częste absen-
cje (szczególnie podczas robót w po-
lu), bardzo niska wydajność pracy —
oto niekorzystne zjawiska, którym kie-
rownicy budów nie mogą zaradzić.

Ale to inna sprawa. Mówiliśmy o
braku „rozrób”.

Na utrzymanie spokoju wpływa,
prócz nieobecności po godzinach pra-
cy dużej części robotników, dość lic-
na i najbardziej świadoma grupa
młodzieży należącej do ZMS. Jest to
jeden z wyników objęcia przez ZMS
patronatu nad budową.

Tych wyników jest znacznie wię-
cej, a najważniejszy to wreszcie zmia-
na stylu budowy. Zakłady Azotowe
mają naprawdę priorytet dzięki ZMS.
Powołano komisję interwencyjną, któ-
ra w wypadku braku dostaw walczy
o swoje nawet przez KC. Oby tak da-
le.

Innym, bardzo korzystnym zjawis-
kiem jest utworzenie Uniwersytetu
Robotniczego. Opowiadał o tym se-
kretarz Komitetu Zakładowego ZMS
inż. Ryszard Cofta, ale nie tylko o
tym. Mówił o przeprowadzonej po
wsiach, nawet podczas ubiegłej, cięż-
kiej zimy, akcji rekrutacyjnej i uświa-
damiającej o Azotach.

Dużo budowniczych, szczególnie
wśród chłopów-robotników, nie ma
pełnego wykształcenia podstawowego.
Uniwersytet więc będzie miał szeroki
zakres: od szkoły podstawowej i roz-
maitych kursów dających możliwości
zdobyć kwalifikacji w zawodach
związanych z budownictwem — do
przygotowania na wyższą uczelnię.
Nie zabraknie również prelekcji po-
пулярno-naukowych na rozmaite te-
maty.

— Ludzie doceniają teraz naukę —
stwierdza mgr inż. Cofta, specjalista
od robót wodnych — zdają sobie spra-
wę, że dopiero zdobycie zawodu może
podnieść ich stopę życiową. Dyrekto-
rem Uniwersytetu Robotniczego jest
kierownik miejscowego Domu Kultu-
ry.

Nie wszystko jednak wygląda różo-
wo. W Komitecie Miejskim ZMS spot-
kałem dyrektora MHD, Jana Deca.

— Kuleje bardzo zaopatrzenie, szcze-
gólnie w artykuły spożywcze reglame-
mentowane i buty — skarżył się dy-
rektor. — W związku z budową Azo-
tów przybyła nam nowa masa kupu-
jących. Przy budowie otworzyliśmy
pięć nowych punktów sprzedaży, tym-
czasem rozdzielnik pozostał taki sam
jak dawniej. Wysłałmy odpowiednio
pismo do Lublina, niestety „utonęło”.
Napiszcie, może to co pomoże. Co
miało iść dla Puław — ciągnie dalej
dyrektor — idzie na Azoty. W rezul-
tacie nie starcza ani tam, ani tu.

Dość interesująco przedstawia się
problem budownictwa.

— Od wyzwolenia do 1961 roku —
mówi Józef Trzeźniak przewodniczą-
cy Prezydium MRN — w Puławach
wybudowano zaledwie cztery bloki
mieszkalne, a w ciągu jednego roku
1962 też cztery. Głód mieszkań jest
bardzo duży, z tego jeszcze pięćset izb
musimy oddać Zakładom Azotowym.

Te kilkaset izb jest, jak się zorien-
towałem, przedmiotem zrywania miej-
scowych działaczy.

— Plany rozwoju Puław zostały
ustalone wcześniej, zanim zapadła
decyzja lokalizująca budowę Zakła-
dów. Te bloki wybudowano więc bez
względu na Azoty, — mówi sekretarz
KM ZMS Jędrzejczyk, — część tych
izb zajmą na pewno ludzie spoza Pu-
ław, mimo że rozwija się budow-
nictwo Zakładów.

Rzeczywiście, widziałem kilkanaście
nowych, pięknych bloków.

— Zniwelowaniu — opowiada se-
kretarz — musi ulec nowy stadion
zbudowany z dużym wysiłkiem, na
jego miejscu stanie co innego, Puła-
wy zaś otrzymają dwa nowe obiekty
sportowe.

Takie są koszty adaptacji terenu.
Nie wyremontowane autobusy, bra-
ki w zaopatrzeniu, brak mieszkań
świadczą o traktowaniu planów
jak kamienia węgielnego, którego nie
można poruszyć. Plany tymczasem

„krzyżówce” tylko, by taksówka się
oddaliła, i wtedy zabrawszy wnuka i
walizkę Jadzi, przesiedli się do sań.
Rodzeństwo nie poszło wraz z rodzica-
mi, lecz czas jakiś jeszcze pozostało
na drodze, z dala od pojazdu.

Franciszka P. tymczasem przy po-
mocy męża opróżniła walizkę z rzeczy
córkę i wyjąwszy dziecko z ciepłej
chustki, w jaką było owinięte, włoży-
ła je do walizki, którą starannie za-
mknęła. Mężowi powiedziała, że chce,
by dziecko się uduśiło. Podobną od-
powiedź otrzymała Jadzia gdy spyta-
ła, gdzie jest maleństwo. Ani mąż,
ani córka nie oponowali. Cała rodzina
rozlokowała się w saniach, a obie ko-
biety opatuliły się w zdjętą z niemow-
lęcia chustę.

Po przyjeździe do domu Franciszka
P. zaniósł do obory walizkę, w któ-
rej znajdowało się niemowlę. Potem
jeszcze raz tam wrócił, wyjęła dzie-
cko i wraz z mężem ochrzcił je wodą
święconą z butelki, którą Aleksan-
der P. przyniósł z mieszkania. Nada-
li mu imię Adam. Nie mogli przecież —
jak potem w śledztwie tłumaczyli —
dopuszczać, by dziecko zmarło nie-
ochrzczone i duszyczka jego pokuto-
wała w czyśćcu (!) Po tych makabrycz-
nych „chrzcinach” na gnoju w obo-
rze mały Adam został z powrotem
przez babkę umieszczony w walizce.

Nazajutrz o świcie Franciszka uda-
ła się z mężem do stodoły, a stwier-
dziwszy, że dziecko wciąż jeszcze ży-
je, nakarmiła je mlekiem, do którego
wspalała trzy proszki od bólu głowy.
Obecny przy tym Aleksander P. i tym
razem nie przeciwstawił się żonie.
Ograniczył się do stwierdzenia, że
„za to można pójść do więzienia”. Z
jego religijnością i zasadami etycznymi
zabójstwo to wcale nie kolidowało.
Aleksander P. i jego żona, tak sa-
mo zresztą jak wielu mieszkańców
Januszówki, uważali bowiem, że nie-
ślubne dziecko nie ma prawa do ży-
cia i zgładzenie go nie jest grzechem.

Jeszcze kilkakrotnie zaglądała Fran-
ciszka P. do dziecka. Około południa
stwierdziła, że już nie żyje i wiado-
mością tą podzieliła się z mężem.

Aleksander P. sporządził trumienkę,
a że był człowiekiem pobożnym, po-
święcił ją przed umieszczeniem w niej
zwłok wnuczka. Trumienka została
ukryta w stodole pod słomą. Aleksan-
der P. zamierzał pochować dziecko w
„poświęconej ziemi”, na cmentarzu w
Kijanach. Przekazali mu w tym
duże śniegi i mróz.

W dniu, w którym funkcjonariusz
MO pytał o małego Adama, zwłoki
jego jeszcze znajdowały się w sto-
dole. Dopiero nazajutrz Aleksander
P. wyjął je z trumienki i w asyście
syna pojechał z nimi nad rzekę Wieprz
by wrzucić trupka do przerwali.

Zwłok dziecka nie znaleziono po
dziś dzień. Prawdopodobnie roztarła
je spływająca na wiosnę kra.

W śledztwie początkowo zarówno
Franciszka P., jak też Jadwiga, zgod-
nie tłumaczyły, że oddały dziecko nie-
znanej kobiecie w Lubartowie, dokąd
udały się autobusem wprost z izby po-
rodowej. Potem Jadzia próbowała
wziąć na siebie całą winę. W końcu
wobec niezbitych dowodów zbrodni
Franciszka P. przyznała się do wszyst-
kiego.

Prokuratura Wojewódzka zwróciła
się do Zakładu Medycyny Sądowej
AM w Lublinie oraz Instytutu Eks-

ETYKA i... POBOŻNOŚĆ

STANISŁAWA GOGOŁOWSKA

ETYKA i... POBOŻNOŚĆ

STANISŁAWA GOGOŁOWSKA

Rodzina Aleksandra P. żyła w do-
brobyciu i cieszyła się we wsi szacun-
kiem i poważaniem. Co prawda rządy
w domu nie on sprawował, ale dorod-
na i energiczna, 35-letnia jego żona,
Franciszka, właścicielka dobrze posta-
wionego prawie 6-hektarowego gospodar-
stwa.

P. mając dwoje dzieci, 19-letniego sy-
na i 17-letnią córkę. Bardzo ładna
dziewczyna była oczkiem w głowie
obojga rodziców. Kiedy pod koniec
wiosny ubiegłego roku Jadzia przy-
znała się matce, że jest w ciąży, dla
Franciszki P. równoła się do trzęsienia
ziemi. Próbowała „winowajcę”, którym
okazał się dobrze sytuowany chłopiec
z sąsiedniej wioski Wiesław St., nakłonić
do małżeństwa. Odmówił zazna-
czając, iż nie ma pewności, że to on
właśnie jest ojcem dziecka, które ma
przyjść na świat.

Franciszka P. jakby ziemia uciekała
spod stóp. Jej córka, którą tak kocha-
ła, teraz ma ściągnąć na ich dom tak
straszliwą hańbę — stać się matką nie-
ślubnego dziecka. Postanowiła nie do-
puścić do tego, by we wsi dowiedzia-
no się o stanie Jadzi.

Pojechała z dziewczyną do Lubli-
na i zwróciła się o pomoc do gineko-
loga. Spotkało ją jednak niepowodze-
nie. Lekarz mimo usilnych jej nalegań
i przyrzeczenia wysokiego honorarium
odmówił wykonania zabiegu twierdząc,
że ciąża jest już zbyt zaawansowana.

Franciszka P. nie rezygnowała ze
starań by zapobiec wydaniu na świat
„dziecka grzechu”. Jednak i w Poradni
Świadomego Macierzyństwa wytłu-
maczono jej, że w tym stadium nie
można przerwać ciąży, że jest to nie-
dopuszczalne i żaden lekarz się tego
nie podejmie.

Wówczas Franciszka P. doszła do
wniosku, że najlepszym i najprostszym
rozwiązaniem skomplikowanego prob-
lemu będzie zgładzenie dziecka zaraz
po jego urodzeniu. W swoje zbrodni-
cze zamierzenie wtajemniczyła męża.
Aleksander P., przyzwyczajony do po-
zostawiania żonie decyzji we wszyst-
kich najbardziej istotnych sprawach, i
tym razem nie oponował.

Pragnąc zachować w tajemnicy
przed sąsiadami ciążę córki rodzice
wywieźli ją do krewnej, która właś-
nie jest położną w izbie porodowej w
miejscowości znajdującej się na dru-
gim krańcu powiatu. We wsi rozpuści-
li wiadomość, że dziewczyna wyjecha-
ła na kurs szycia do miasta. U owej
krewnej Jadwiga poznała człowieka,
który zakochał się w pięknej dzie-
wczynie i zaproponował jej małżeństwo,
a nawet wyraził gotowość uznać za
swoje dziecko, którego się spodziewała.
Propozycja ta nie została jednak przy-
jęta. Drugiego lutego Jadzia urodziła
zdrowego chłopaka. W tydzień później
rodzice przyjechali taksówką wynają-
tą w Lubartowie, by zabrać ją i dzie-
cko do domu.

Tego samego dnia z miejscowości,
gdzie Jadzia odbyła poród, wpłynęła
do Komendy Powiatowej MO poufna
wiadomość o tym, że istnieją poważ-
ne przypuszczenia, iż rodzina P. pra-
gnie zgładzić noworodka. Podobne podej-
żenia zgładzić swoich pasażerów,
których nazwisk zresztą nie znał, po-
wziął na podstawie ich zachowania w
czasie jazdy również kierowca tak-
sówki i podzielił się nimi po powro-
cie do Lubartowa z funkcjonariuszem
MO.

„krzyżówce” tylko, by taksówka się
oddaliła, i wtedy zabrawszy wnuka i
walizkę Jadzi, przesiedli się do sań.
Rodzeństwo nie poszło wraz z rodzica-
mi, lecz czas jakiś jeszcze pozostało
na drodze, z dala od pojazdu.

Franciszka P. tymczasem przy po-
mocy męża opróżniła walizkę z rzeczy
córkę i wyjąwszy dziecko z ciepłej
chustki, w jaką było owinięte, włoży-
ła je do walizki, którą starannie za-
mknęła. Mężowi powiedziała, że chce,
by dziecko się uduśiło. Podobną od-
powiedź otrzymała Jadzia gdy spyta-
ła, gdzie jest maleństwo. Ani mąż,
ani córka nie oponowali. Cała rodzina
rozlokowała się w saniach, a obie ko-
biety opatuliły się w zdjętą z niemow-
lęcia chustę.

Po przyjeździe do domu Franciszka
P. zaniósł do obory walizkę, w któ-
rej znajdowało się niemowlę. Potem
jeszcze raz tam wrócił, wyjęła dzie-
cko i wraz z mężem ochrzcił je wodą
święconą z butelki, którą Aleksan-
der P. przyniósł z mieszkania. Nada-
li mu imię Adam. Nie mogli przecież —
jak potem w śledztwie tłumaczyli —
dopuszczać, by dziecko zmarło nie-
ochrzczone i duszyczka jego pokuto-
wała w czyśćcu (!) Po tych makabrycz-
nych „chrzcinach” na gnoju w obo-
rze mały Adam został z powrotem
przez babkę umieszczony w walizce.

Nazajutrz o świcie Franciszka uda-
ła się z mężem do stodoły, a stwier-
dziwszy, że dziecko wciąż jeszcze ży-
je, nakarmiła je mlekiem, do którego
wspalała trzy proszki od bólu głowy.
Obecny przy tym Aleksander P. i tym
razem nie przeciwstawił się żonie.
Ograniczył się do stwierdzenia, że
„za to można pójść do więzienia”. Z
jego religijnością i zasadami etycznymi
zabójstwo to wcale nie kolidowało.
Aleksander P. i jego żona, tak sa-
mo zresztą jak wielu mieszkańców
Januszówki, uważali bowiem, że nie-
ślubne dziecko nie ma prawa do ży-
cia i zgładzenie go nie jest grzechem.

Jeszcze kilkakrotnie zaglądała Fran-
ciszka P. do dziecka. Około południa
stwierdziła, że już nie żyje i wiado-
mością tą podzieliła się z mężem.

Aleksander P. sporządził trumienkę,
a że był człowiekiem pobożnym, po-
święcił ją przed umieszczeniem w niej
zwłok wnuczka. Trumienka została
ukryta w stodole pod słomą. Aleksan-
der P. zamierzał pochować dziecko w
„poświęconej ziemi”, na cmentarzu w
Kijanach. Przekazali mu w tym
duże śniegi i mróz.

W dniu, w którym funkcjonariusz
MO pytał o małego Adama, zwłoki
jego jeszcze znajdowały się w sto-
dole. Dopiero nazajutrz Aleksander
P. wyjął je z trumienki i w asyście
syna pojechał z nimi nad rzekę Wieprz
by wrzucić trupka do przerwali.

Zwłok dziecka nie znaleziono po
dziś dzień. Prawdopodobnie roztarła
je spływająca na wiosnę kra.

W śledztwie początkowo zarówno
Franciszka P., jak też Jadwiga, zgod-
nie tłumaczyły, że oddały dziecko nie-
znanej kobiecie w Lubartowie, dokąd
udały się autobusem wprost z izby po-
rodowej. Potem Jadzia próbowała
wziąć na siebie całą winę. W końcu
wobec niezbitych dowodów zbrodni
Franciszka P. przyznała się do wszyst-
kiego.

Prokuratura Wojewódzka zwróciła
się do Zakładu Medycyny Sądowej
AM w Lublinie oraz Instytutu Eks-

Teraz w Januszówce wiedzą już
wszyscy, że Jadzia P. urodziła nie-
ślubne dziecko. Tłumnie zjawili się w
Sądzie Wojewódzkim w Lublinie,
przed którym odbywała się rozprawa
przeciwko Jadzi i jej rodzicom. Mo-
że wyrok, jaki zapadł (Franciszka P.
została skazana na 8 lat, Aleksander
na 6 lat, zaś Jadwiga na 5 lat więzie-
nia), wstrząsnął sumieniem wsi, po-
zwolił jej mieszkańcom wyzwolić się
z więzów kłutunierli.

Teraz w Januszówce wiedzą już
wszyscy, że Jadzia P. urodziła nie-
ślubne dziecko. Tłumnie zjawili się w
Sądzie Wojewódzkim w Lublinie,
przed którym odbywała się rozprawa
przeciwko Jadzi i jej rodzicom. Mo-
że wyrok, jaki zapadł (Franciszka P.
została skazana na 8 lat, Aleksander
na 6 lat, zaś Jadwiga na 5 lat więzie-
nia), wstrząsnął sumieniem wsi, po-
zwolił jej mieszkańcom wyzwolić się
z więzów kłutunierli.

Teraz w Januszówce wiedzą już
wszyscy, że Jadzia P. urodziła nie-
ślubne dziecko. Tłumnie zjawili się w
Sądzie Wojewódzkim w Lublinie,
przed którym odbywała się rozprawa
przeciwko Jadzi i jej rodzicom. Mo-
że wyrok, jaki zapadł (Franciszka P.
została skazana na 8 lat, Aleksander
na 6 lat, zaś Jadwiga na 5 lat więzie-
nia), wstrząsnął sumieniem wsi, po-
zwolił jej mieszkańcom wyzwolić się
z więzów kłutunierli.

pertyz Sądowych w Krakowie z za-
pytaniem, czy składniki zawarte w
trzech proszkach od bólu głowy mo-
gły spowodować śmierć noworodka.
Otrzymała odpowiedź, że dawka taka
wielokrotnie przekracza dopuszczalną
u niemowląt.

Teraz w Januszówce wiedzą już
wszyscy, że Jadzia P. urodziła nie-
ślubne dziecko. Tłumnie zjawili się w
Sądzie Wojewódzkim w Lublinie,
przed którym odbywała się rozprawa
przeciwko Jadzi i jej rodzicom. Mo-
że wyrok, jaki zapadł (Franciszka P.
została skazana na 8 lat, Aleksander
na 6 lat, zaś Jadwiga na 5 lat więzie-
nia), wstrząsnął sumieniem wsi, po-
zwolił jej mieszkańcom wyzwolić się
z więzów kłutunierli.

— Zniwelowaniu — opowiada se-
kretarz — musi ulec nowy stadion
zbudowany z dużym wysiłkiem, na
jego miejscu stanie co innego, Puła-
wy zaś otrzymają dwa nowe obiekty
sportowe.

Takie są koszty adaptacji terenu.
Nie wyremontowane autobusy, bra-
ki w zaopatrzeniu, brak mieszkań
świadczą o traktowaniu planów
jak kamienia węgielnego, którego nie
można poruszyć. Plany tymczasem

UPARTY MŁYNARZ

WŁODZIMIERZ ŁOZIŃSKI

KIEDY byłem małym chłopcem, wiatrak wzbudzał we mnie straszliwe przerażenie. Uosabiał jeśli nie szczyt, to w każdym razie potęgę tajemniczej techniki. Nie wierzyłem, aby sam wiatr, bez pomocy jakiejś niezmiernie sily, mógł poruszać potężne ramiona śmigieł i jeszcze mleć zboże włożone między najcięższe kamienie, które wymieniano co kilka lat.

Groźnej powagi dodawało wiatrakowi otoczenie. Stał na piaszczystym wzgórzu, rzadko porośniętym ostem i lichą trawą. Trzymał się z dala od wiejskich chałup i od lasu. Szło się do niego lub jechało wąską i krętą drożką, po której konie z najwyższym trudem wciągały worki zboża.

Śmigi (pani korektorko — tylko nie śmigła!) wiatraka kręciły się od sierpnia aż do wiosny, zawsze gdy pozwalały na to silniejsze porywy wiatru. Ciche, bezwzględne dni były kłęką dla młynarza. Ludzie obliczali przecież jego fortunę według tego, jak często kręciły się śmigi. Majątek musiał być nieliczny, skoro młynarz w krótkim okresie mojego dzieciństwa urządził cztery najwystawniejsze we wsi wesela swoim czterem córkom. Cztery córki miał młynarz i tylko jednego syna, który nie okazał zresztą żadnego zainteresowania dla tradycyjnego w rodzinie zawodu.

Nie znam całego ciągu historii świetności i upadku wiatraka, bom na wiele lat wyjechał ze wsi. Przypuszczam jednak, że upadek musiał nastąpić powoli, bez dostrzegalnych dla oka tamtejszych mieszkańców zmian. Ot, po prostu ludzie zapominają o łapciach własnego wyrobu, kiedy mogą sobie sprawić ładne buty, zapominają o lampie naftowej, kiedy przekroczenie kontaktu daje im jaśniejsze światło, zapominają...

Tak jest, zapominają o wiatraku, bo przestaje im być potrzebny. Mają teraz we wsi własny sklep z pieczywem, nie pięką więc swojego chleba. A skoro tak, to nie mieli również maki. Przed kilkoma laty młynarz, choć z bólem serca, musiał ustawić żarna swojego wiatraka na przemiał ospy. To mu dawało jeszcze szansę pracy i zarobku. Śmigi, choć wolniej i rzadziej, kręciły się jednak jeszcze od zniw do zimy, a czasem nawet wiosną, kiedy ktoś przypomniał sobie, że ma jeszcze resztki nadgrzyzonego przez myszy

ziarna, które po zmieleniu może zjeść świnia i krowa.

Teraz i to się kończy. Ostatnią kłęką wiatrakowi zadają prawdopodobnie śrutownicy. We wsi są już trzy: „kółkowy” — jak powiadają — czyli kółka rolnicze i dwa prywatne. Kto by tam teraz ciągnął z pośladkiem za wieś do wiatraka, skoro nie tylko ospę, ale i razówkę można o wiele taniej i szybciej zemleć na własnym podwórku. Wystarczy tylko włączyć kontakt.

Czas niosący technicznie — społeczne zmiany odbił się straszliwie na wyglądzie wiatraka. Zmalala, szczerla, a jego dach i ściany pokryły się kępami mchu. Cienkie deszczuleczki śmigieł spróchniały tak bardzo, że łamają się pod dotknięciem palca. Wątpię, aby teraz wiatrak wzbudzał w jakimkolwiek dziecku najmniejszy lęk. Dożywa swoich ostatnich dni niczym statek parowy, który stoi wprawdzie jeszcze w portowym kanale, ale nie może już sobie pozwolić na dalekie rejsy.

Nikt we wsi starym wiatrakiem się nie zajmuje, z wyjątkiem sześćdziesięcioparoletniego młynarza. Nie wiem, czy przez wdzięczność dla okresu świetności, kiedy wiatrak pomnażał jego fortunę, czy przez umiłowanie zawodu, młynarz dba o niego jak o najdroższą, żywą istotę. Kiedy dokuczy mu zbyt długotrwały bezruch śmigieł, wybiera się do najbliższych wsi i namawia znajomych gospodarzy do zmielenia pośladu w jego wiatraku. Wykalkulował sobie stary dość przekonująco argument.

— Dziesięć złotych za metr przemianu — powiada — to parę groszy taniej, niż opłata za amortyzację i energię elektryczną zużytą przez śrutownik.

Niektórzy dają się na to nabrać. Zapominają o dużym „rozkurzu”, przeznaczonym przez młynarza na pokarm dla własnej świnki, zapominają o czasie straconym na dowóz i przywóz ospy z wiatraka. Tacy to już są nasi chłopcy — czas ma dla nich ciągle jeszcze najniższą wartość. Może zresztą niektórzy z nich darzą również sentymentem zgrzybiały wiatrak i lubią popatrzeć na wirujące platy, tak jak na karuzelę. Może właśnie dzięki temu wiatrak od czasu do czasu uruchamia swoje śmigi. Skrzypli przy tym żalowanie, chwycie się przy silniejszych porywach wiatru, ale jeszcze pracuje.

To znaczy do niedawna pracował, bo właśnie ostatnio pękła w nim jedna z

drewnianych osi i posypało się przy tym mnóstwo trybów. Młynarzem to nieszczęście wstrząsnęło. W jego przekonaniu awaria nastąpiła w pełni pracowitego sezonu, który mógłby przynieść całkiem pokaźny zarobek. Nie wiele myśląc, zabrał się więc młynarz do pisania prośby o pożyczkę w Spółdzielni Oszczędnościowo - Pożyczkowej. Inni dostają — myślał — więc dlaczego on miałby nie dostać marnych 30 tysięcy złotych na cel tak ważny jak remont wiatraka.

Dyrekcja SOP miała widać inne zdanie, bo zamiast od razu zatwierdzić sprawę, skierowała do młynarza komisję ekspertów. Komisja skrupulatnie obejrzała wiatrak, potem zagrode młynarza i tu doszło do następującej rozmowy:

— Ile to, dziadku, mielecie zboża rocznie? — spytał młody szef komisji.

— Ano, wychodzi ze sto metrów.

— A bierzecie po 10 złotych od metra?

— Tak, ale jeszcze trochę rozkurzu.

— To nie ma wysokiej wartości — zbył tę uwagę młynarza szef komisji, po czym dodał: — Jakkolwiek byście liczyli, więcej niż tysiąc złotych nie zarobicie na wiatraku. Nie będziecie więc mieli z czego spłacić pożyczki.

Młynarz poczuł, że przegrywa sprawę. Nie pomogły zapewnienia, że przecież to jeszcze dobry wiatrak, że może się przydać, gdy na przykład zabraknie prądu, gdy się zepsują śrutowniki...

Komisja zatwierdziła sprawę odmownie dorzuciła opinię, że państwo nasze jest za biedne, aby udzielać wsparcia inwestycjom o wartości... muzealnej.

Odwiedziłem młynarza wkrótce po pobycie komisji. Z twarzą owiniętą gęstą siatką kręcił się między kolumnami ulami. Bo zapomniałem dodać, że gdy malała praca w wiatraku, młynarz przerzucił się na hodowlę pszczoł i coraz bardziej ją rozwijał.

— No cóż, dziadku, — powiedziałem, mając ku temu wyborną okazję — teraz trzeba będzie całkiem przekwalifikować się na pszczelarza. To zupełnie przyjemne zajęcie, a poza tym na miodzie można więcej zarobić niż na mieniu zboża.

— No pewnie — odpowiedział, nie przerywając oględzin ramki pełnej miodowych plastrów.

Potem usiedliśmy na ławce, skąd widać było cały pagórek z tkwiącym na szczycie wiatrakiem. Stary patrzył dłuższy czas na ten umierający wrak, i nagle powiedział:

— Myślę, że jak dobrze pójdzie, to za dwa lata pasieka da mi trzydzieści tysięcy złotych. Akurat wystarczy na kapitalny remont wiatraka.

TOWARZYSTWO KULTURY MORALNEJ

JEDNYM z warunków budowy ustroju socjalistycznego w naszym kraju jest nieustanne podnoszenie poziomu kultury moralnej społeczeństwa. Problemem tym oprócz innych organizacji społecznych i wychowawczych, które w różnych środowiskach i różnymi metodami kształtują nowy model etyczny, zajęło się założone w 1958 roku Towarzystwo Kultury Moralnej. Na czele Towarzystwa stanął prof. Tadeusz Kotarbiński, który w pierwszym numerze biuletynu informacyjnego określił cele towarzystwa jako działania do tego, by „społeczeństwo nasze miało dawać powody do ocen ujemnych, których nie szczędzą mu z racji tych innych przywar oby obserwatorzy, zaszło to jasnie, promieniować pięknym moralnym”.

Organizatorzy Towarzystwa sformułowali w ten sposób w pierwszym numerze biuletynu wstępne zadania i plany.

1. Rozpowszechnienie w społeczeństwie zasad postępowania zgodnych z etyką i dążenie do podniesienia poziomu kultury moralnej, przede wszystkim z zasadami etyki humanitarnej.

2. Zapoznanie społeczeństwa z kierunkami wiedzy moralnej, które u nas były mało znane, a mają duże znaczenie w życiu społecznym; chodzi tu w pierwszym rzędzie o wiedzę traktującą o dynamicznych wartościach materialnych.

3. Przez rozwój kultury moralnej roznieśmy też wysiłki twórcze na polu wytyczania nowych idei i kierunków kultury moralnej oraz metod skutecznego jej rozpowszechniania.

Dotychczasowa działalność Towarzystwa między zebraniem organizacyjnym, w dniu 29 maja 1958 roku, a II Zjazdem w czerwcu 1963 r., ma na swym koncie szereg bardzo interesujących odczytów, które dzięki nazwiskom prelegentów (prof. Tadeusz Kotarbiński, prof. Maria Ossowska, prof. Józef Keller, prof. Leszek Kołakowski, dr Henryk Jankowski), jak również dzięki swojej tematyce, zdobyły TKM uznanie wśród słuchaczy. Niewątpliwym osiągnięciem Towarzystwa jest też skupienie wokół siebie grona ludzi, którzy doceniają potrzebę szerzenia kultury moralnej i stali się inicjatorami zakładania oddziałów Towarzystwa w różnych województwach.

Również i województwo lubelskie nie pozostało w tyle. W maju br. w Lublinie powstał Zarząd Okręgu TKM, na czele którego stanął tacy społecznicy, jak wiceprzewodniczący PWIN Jan Siewierski, prof. St. Krzyżala.

Nowo powstały zarząd postawił sobie poważne, ale niewątpliwie realne, wyznaczone z potrzeb środowiska zadania. Oprócz rozszerzenia zasięgu działalności Towarzystwa na młodzież studencką i mieszkańców miasteczek powiatowych, wystąpił z inicjatywą zorganizowania Wolnego Studium Etyki, na którego program wchodziły cykl wykładów z zagadnień moralności i etyki materialistycznej, stało ogłoszenie konkursu na pracę popularnonaukową na temat etyki sportowców i działaczy sportowych. Praca Towarzystwa Kultury Moralnej nie opiera się więc tylko na teoretycznych rozważaniach, ale praktycznie stara się propagować zdrowe moralne zasady postępowania w naszym społeczeństwie.

W. R. Szpala

WNETRZE południowo-wschodniej Polski kryje w sobie nie tylko ropę naftową czy też słynne już w świecie bogate złoża siarki... Podczas intensywnie prowadzonych tu prac ziemnych łopaty robotników, a ostatnio zmechanizowane koparki — odsłaniają niespotykane dziś przedmioty, skorupy naczyń, jakieś skamieniałe lub zwęglone szczałki. Czasem znów rolnik wyorze garnek o dziwnych kształtach i wzorach. Znalazcy zwykle nie wiedzą, kto je wykonał, komu i do jakich celów przedmioty te służyły. A stanowią one cenny materiał do poznania kultury materialnej ludów zamieszkujących ziemię polską przed tysiącami lat.

Te niepisane źródła historyczne już w XIX w. zwróciły uwagę znawców; w pierwszej połowie XX stulecia fragmentaryczne badania zamierzały przeszłości terenów obecnej Rzeszowszczyzny kontynuowali uczeni oraz archeolodzy-amatorzy. Natomiast szeroko zakrojone prace wykopaliskowe podjął dopiero przed kilku laty Dział Archeologiczny Muzeum Okręgowego w Rzeszowie oraz Rzeszowski Ośrodek Archeologiczny, skupiający młodych i ambitnych pracowników naukowych, których działalnością badawczą kieruje wybitny znawca pradziejów tych ziem — prof. dr Rudolf Jamka. Odkrycia rzeszowskich archeologów związane są z epokami: kamienną, brązu i żelaza.*

Co do przedmiotów pochodzących ze starszej epoki kamiennej (paleolit), to po pierwszych mieszkańcach tych ziem zachowały się pięściaki, płoszcze i skrobacze. Na szczególną uwagę zasługują pamiątki po pierwotnych rolnikach z młodziej epoki kamiennej (neolit), uprawiających urodzajne lessy w okolicach Rzeszowa. Stworzyli oni tzw. kulturę ceramiki wstęgowej, której pozostałości odkryto w latach 1960—1962 na Osiedlu Piastów w Rzeszowie. Spośród 300 neolitycznych osad, cmentarzysk i luźnych przedmiotów odkrytych na Rzeszowszczyźnie większość znaleziono w widłach Wisły i Sanu, co wskazuje na kwitnące tam ogniś osadnictwo.

Epokę brązu (lata 1800—700 p.n.e.) reprezentują różnorodne narzędzia pracy, broń i ozdoby m. in.

TAJEMNICE WYDARTE ZIEMI

ZDZISŁAW KOZIOŁ

bardzo ciekawy skarb wyrobów brązowych odkryty w Zależu w powiecie jasielskim. Już w tym czasie człowiek posługiwał się kołem garncarskim, radłem i żarnami rotacyjnymi. W środkowej epoce brązu Rzeszowskie zamieszkiwała prasłowiańska ludność kultury lużyckiej, która wytworzyła tu lokalną grupę tarnobrzeską. Spośród 125 znalezisk szczególnie cennych informacji o życiu naszych przodków dostarczają cmentarzyska ciałopalne w Machowie (640 grobów) i Trzęsówce (360 grobów); spalone szczałki zmarłych grzebano, jak wiadomo, w glinianych popielicach, wyposażając je w broń, przedmioty codziennego użytku oraz żywność składaną w specjalnych przystawkach grobowych.

Najazd koczowniców scytyjskich położył w V wieku p.n.e. kres kulturze lużyckiej. Badacze są skłonni przypuszczać, iż prasłowianie „grupy tarnobrzeskiej” utrzymywali z przybyszami przyjazne stosunki, gdyż wśród przedmiotów scytyjskich znalezionych w 9 miejscowościach (w całej Polsce odkryto ich 15) — w przeciwieństwie do innych rejonów kraju — nie występują militaria. Jak wynika z ostatnich badań, w epoce brązu panowali również w Polsce południowej Celtowie, o których bytności świadczy 7 znalezisk. m. in. niezwykle cenny miecz w pochwie żelaznej — z Rzeszowa, fibula z Przemyśla, złota moneta z Medyki.

Interesująco prezentuje się również epoka żelaza (VII wiek p.n.e. — IV wiek n.e.). Ludność ówczesna, której ślady odkryto w 125 miejscowościach, wytworzyła tu tzw. kulturę przeworską. Z tego okresu pochodzi m. in. 19 cmentarzysk, 18 osad, 12 skarbow monet, lampa oliwna, posążek bogini rzymskiej. Stosunkowo duża ilość rzymskich wyrobów przemysłowych potwierdza tezę o żywych kontaktach z Cesarstwem i jego prowincjami, znalezione zaś w dolinie Sanu monety dowodzą istnienia lokalnego szlaku handlowego biegnącego z południa do Sandomierza i wzdłuż Wisły nad Bałtyk.

Wreszcie — znaleźiska wczesnośredniowieczne (VI—XIII w.). Po burzliwych i rujnujących wędrowkach ludów kolejny rozkwit osadnictwa zaczyna się w VI wieku n. e. Wykopaliska w Nisku, Manasterze i Rzeszowie pozwalają stwierdzić, iż ludność zajmowała się m. in. garncarstwem i wytapianiem żelaza z rudy darniowej. W okresie plemiennym wznoszono grody obronne koncentrujące się głównie na Pogórze, w Beskidzie Niskim i Bieszczadach. Jak stwierdza mgr Kunysz, kilka warowni pochodzi z VII—IX w., a wzniesione miały być przez plemią chorwackie, które ustąpiły dopiero pod naporem Wiślan. W okresie kształtowania się państwa polskiego wzrosła ilość grobów. O Przemyślu wzmiankują źródła z 981 r., Biecz powstał w połowie XI w., Jarosław i Sanok zaś w kilkadziesiąt lat później. Prace wykopaliskowe dostarczyły wielu przedmiotów produkcji rodzimej oraz pochodzących z importu, m. in. krzyż bizantyjski, pęktoryki brązowe, monetę arabską, fragmenty kijowskich bransolet szklanych.

Szeroki zasięg prac naukowo-badawczych, do których asumptem są obchody Tysiąclecia Państwa Polskiego, poważnie wzbogacił wiedzę o pradziejach kraju. Tylko w ub. r. badania stacjonarne prowadzono w 20 miejscowościach, a powierzchniowo, zwiadowcze — w ponad 150, głównie na terenach objętych intensywną zabudową.

Wyrazem uznania dla osiągnięć Rzeszowskiego Ośrodka Archeologicznego i Oddziału Polskiego Towarzystwa Archeologicznego było zorganizowanie w Rzeszowie w maju br. Walnego Zjazdu PTA oraz sesji naukowej poświęconej pradziejom Rzeszowszczyzny. Wydano wówczas X tom biblioteczki popularnonaukowej PTA oraz nadbitki z III tomu „Rocznika Województwa Rzeszowskiego” z rozprawami dr J. K. Kozłowskiego, prof. R. Jamki oraz mgr A. Kunysza. Pierwszy z autorów zajął się problematyką paleolitu Polski południowo-wschodniej. Prof. Jamka opracował mało znany dotychczas region Puszcy Sandomierskiej w okresie od 400 roku p.n.e. do 600 roku n. e.; m. in. w oparciu o materiał z cmentarzysk wykazał istnienie różnic społecznych już w pierwszych wiekach n.e. Rozprawa mgr Kunysza jest bodajże pierwszą syntetyczną publikacją o osadnictwie wczesnośredniowiecznym w dawnej Ziemi Sandomierskiej. Według autora, osadnictwo koncentrowało się wokół źródeł i złóż solnych. W oparciu zaś o prowadzone przez siebie badania oraz istniejące przekazy źródłowe wysunął śmiało hipotezę lokalizując Chorwatów w górnym dorzeczu Dniestru i Sanu.

* Najważniejsze odkrycia ukazała eksponowana w Muzeum wystawa pt. „Pradzieje Rzeszowszczyzny w świetle wykopalisk”. Autorem scenariusza był prof. Jamka, realizatorami zaś pracownicy Działu Archeologicznego: T. Akamit, mgr A. Kunysz i A. Szalapatka. Liczne zgromadzone eksponaty obrazowały kulturę materialną ludów pierwotnych i społeczeństw wczesnośredniowiecznych od około 50 tysięcy lat p.n.e. do XIII w. n.e. Oprócz tego archeolodzy rzeszowskiej zorganizowali wystawę objazdową pt. „Rzeszowskie w zaraniu dziejów”.

KŁOPOTY PLANOWANIA

(Dokończenie ze str. 1)

A jak wygląda realizacja planu?

W dniach 3-4 października br. Lublin gościł uczestników ogólnopolskiej konferencji Towarzystwa Urbanistów Polskich, poświęconej analizie realizacji etapowych planów urbanistycznych Lublina, Wrocławia i Pruszkowa. Tematem referatu dotyczącego naszego miasta była „Ocena realizacji planu urbanistycznego m. Lublina w latach 1956-60 oraz przygotowanie realizacji na lata 1961-65”. Podczas dyskusji sformułowano szereg wniosków określających optymalne warunki wykonywania planów przestrzennych oraz ich uwarunkowania w stosunku do planów gospodarczych i inwestycyjnych.

Ze zrozumiałych względów w artykule niniejszym zatrzymałem się jedynie nad wybranymi problemami przestrzennego zagospodarowania naszego miasta, sprawami o charakterze gospodarczym i społecznej wymowie. Podstawą artykułu jest referat wygłoszony na konferencji, a opracowany przez inż. arch. Romualda Dylewskiego i mgr Tadeusza Chmielewskiego; zacierpiałem z niego dane liczbowe i pewne fakty spełniające rolę przesłanek dowodzenia. Granice czasowe omawianego planu wyznaczają lata 1956-62.

Okazuje się, że nawet tak dobrze (pomimo wspomnianych trudności) zaprojektowany plan etapowy ulega w czasie realizacji wielu zmianom, które w konsekwencji mogą zaważyć w sposób nieprzewidywany na wielu dziedzinach życia miasta, narażając społeczeństwo na straty.

Jednakże „statystycznego obywatela” interesuje przede wszystkim budownictwo mieszkaniowe, stopień zaspokojenia wciąż rosnących potrzeb w tym zakresie, tym bardziej że sytuacja mieszkaniowa Lublina w r. 1956 należała do najgorszych w kraju: ponad 2,21 mieszkańca na jedną izbę. W ciągu następnych lat wskaźnik ten uległ znacznemu polepszeniu, co można częściowo tłumaczyć uzyskaniem izb mieszkalnych po wyeksmitowanych biurach, przez podział dużych pokoi w starych budynkach na mniejsze pomieszczenia i dalsze użytkowanie przeznaczonych do likwidacji suterenu, strychów itp. Wybudowano także w okresie lat 1955-60 trzynaście tysięcy nowych izb, było to jednak wykonanie tylko 70% zadań określonych planem dla budownictwa wielorodzinnego. Zmiana norm dotycząca wysokości budynków, wprowadzenie w życie zarządzenia o budownictwie oszczędnościowym, trudności z uzbrojeniem terenu i jego uzyskaniem (Kalinowszczyzna) — oto niektóre z przyczyn niewykonania pierwotnych założeń planu. Zatem z jednej strony mamy niezrealizowanie postulatów planu budownictwa wielorodzinnego, z drugiej — wygospodarowanie pewnych nadwyżek lokalowych, o czym wspomniano powyżej. W sumie nie tłumaczy to w żadnym stopniu tak znacznego obniżenia wskaźnika zagęszczenia do 1,92 mieszkańca na izbę w r. 1960.

Tajemnicę rozwiązują raporty i opinie inspekcji budowlanej, które stwierdzają, że w Lublinie w okresie 1956-62 wybudowano nielegalnie, tzn. bez otrzymania lokalizacji i pozwolenia na realizację od Wydziału Architektury PMRN — około 5.500 izb. W stosunku do całości budownictwa nowego stanowi to 24%, a w porównaniu z budownictwem jednorodzinnym legalnym wykazuje 2,5-krotną przewagę ilościową zrealizowanej „samowoli”.

Zasadniczą przyczyną „rozkwitnięcia” nielegalnego budownictwa jest oczywiście brak mieszkań oraz niskie koszty budynków wznoszonych bez nadzoru budowlanego. W związku z tym należałoby postulować:

1) obniżenie kosztów budynków jednorodzinnych wznoszonych prawnie, przez udostępnienie tanich projektów, wprowadzenie do użytkowania prefabrykowanych elementów budowlanych,

niedrogich materiałów itp., co pozwoliłoby zorganizować realizację budownictwa jednorodzinnego i zarazem zmniejszyć liczbę powstających „samowoli”.

2) zwiększenie kontroli terenów miasta przez włączenie do akcji funkcjonariuszy dzielnicowych Milicji Obywatelskiej i Straży Pożarnej, której przedstawiciele przed określeniem stanu bezpieczeństwa p-pożarowego winni żądać okazania pozwolenia na budowę domu. Ścisłe współdziałanie z inspekcją budowlaną wyżej wymienionych czynników pozwoli zapewne na dokładniejszą kontrolę 9.300 ha składających się na powierzchnię miasta.

Tymczasem na peryferiach powstają dzielnice drewnianych, kariatowych chat, załóżki przyszłych slumsów, istotna przeszkoda w ekspansji programowej zabudowy, ponieważ 40% efektów omawianego budownictwa kolduje z programem inwestycyjnym następnej pięcioletki. Wspomniany konflikt doprowadza w życiu do sytuacji wręcz tragicomicznych, że przywołam historię babci zajmującej samowolnie postawioną „klitkę” w bezpośrednim sąsiedztwie z budynkiem wznoszonym legalnie, którego ściana zatarasowała drzwi domostwa babci. Staruszka ogłosiła strajk okupacyjny nie opuszczając mieszkania przez kilka dni, co sąsadowi umożliwiło niemal całkowite zamurowanie otworu wejściowego. Wyważenie zapasowych drzwi z drugiej strony budynku pozwoliło oswobodzić bohaterkę wydarzenia.

Bezprawne osiedla powstają także w centrum miasta — przy Parku Ludowym — „nieostrzegane” przez odpowiednie władze, wznoszone w całkowitej sprzeczności z prawem budowlanym, przepisami sanitarnymi i przeciwpożarowymi.

Pomimo wielu rażących braków w trybie realizacji budownictwa mieszkaniowego, należy jednak zaznaczyć, że (wylączywszy „samowole”) jest ono zgodne z generalnymi założeniami planu etapowego, tj. — z tworzeniem nowych zespołów dzielnicowych i stopniowym zmniejszaniem zaludnienia śródmieścia.

Ośrodki usługowe w naszym mieście w zdecydowanej większości wypadków były zlokalizowane i wybudowane zgodnie z wskaźnikami planu. Realizacja osiedlowych ośrodków usługowych napotyka jednak na szereg trudności i jest opóźniona, przyczyniając się w wielu wypadkach do zmiany elaboratu planu przestrzennego. Sytuacja taka jest wynikiem niewystarczających kredytów i niechęci inwestorów do budowania omawianych obiektów. Konsekwencją niewielkiej, ograniczonej ilości pomieszczeń usługowych jest poszukiwanie lokali zastępczych, a więc o charakterze planem nieprzewidywanym warunkującym niski standard sklepów, zakładów rzemieślniczych itp. Jednym z przykładów ilustrujących problem jest także sytuacja przedszkoli w latach 1960-62, w którym to okresie liczba miejsc wzrosła o 645, z czego jedynie 300 przypada na nowo wybudowane obiekty. Handel detaliczny, rzemiosło i gastronomia lubelska w r. 1960 dysponowały mniejszą ilością lokali na 1000 mieszkańców niż w r. 1955!

Z braku miejsca ograniczam się tu jedynie do informacji, że odchylenia od planu obserwujemy również w budownictwie szkół. Sprawa ta będzie wymagała osobnego artykułu.

Jedną z zasadniczych przyczyn odkształcania planu jest w naszym systemie społecznym anachroniczna, lecz często wybijająca, samowola inwestorów społecznych, państwowych — czynnik poparty autorytetem i władzą jednostki społecznej, zdolnej do użycia wszelkich wpływów mających doprowadzić do realizacji egoistycznego celu.

Mając na uwadze uniknięcie strat gospodarczych i oszczędność w odniesieniu do zespołów przemysłowo-skladowych, plan postulował wybudowanie urządzeń wspólne-go użytkowania, jak: kotłownie, bocznicie kolejowe i garaże. Exempłum: na Wrotkowie przewidywano budowę jednej, wspólnej ciepłowni, a tymczasem zrealizowano ich kilka; pod koniec etapu liczba ta zwiększyła się do 20! Inny przykład: plan zakładał likwidację lub zmianę przeznaczania pewnych obiektów, a m. in. browaru przy ul. J. Dąbrowskiego i zakładu farmaceutycznego przy ul. Leszczyńskiego. Tymczasem bez porozumienia się z władzami urbanistycznymi placówki te przebudowano, przedłużając ich czas trwania i lokalizację sprzeczną z charakterem okolicznej mieszkaniowej zabudowy.

To już Paryż?

OKAMERZE filmowej mówi się, że jeździ. Więc przejechała się ostatnio po Kielcach dosłownie i w przenośni. Widzom kroniki filmowej ukazała najpierw reprezentacyjną, niezłe wyglądającą ulicę, a potem uczyniła efektowną jazdę w zaniedbane zaułki. Komentarz słowny zakończył przejażdżkę niedowzrocznie: mniej nowych fontann, a więcej szczotki i mydła.

Obywatele grodu nad Słonią podzielili się na dwie grupy. Pierwsza wyznaje samokrytycznie: „dobrze nam tak, zamiast o jasadach myśleć o prawdziwych porządkach”, druga oburzona woła, że obraz Kielc w kronice filmowej był karykaturalny, złośliwie wycelowany na marginesy korzystnych przemian, jakim miasto uległo po wojnie.

Można by skwitować to zamieszanie wzruszeniem ramion, gdyby nie awersy problem, o który niechęć potręciła Polska Kronika Filmowa: jaka powinna być hierarchia przeobrażeń miasta parterowych ruder, jakby żywcem wywołanego z powieści Soltkowskiego-Szczedrina, miasta zwanego bez złośliwości wsią wojewódzką a dążącego ku pozycji współczesnego ośrodka administracji i stolicy wcale nie małego przemysłu? To pytanie dotyczy nie tylko Kielc, ale wszystkich miast widniejących pod wianem „Kamery”, i ponadto jeszcze kilku.

Pogląd, że wszystko trzeba zmieniać w harmonii idealnych proporcji, czyli równocześnie kłaść asfalt, burzyć stare rudery, wznosić nowe osiedla, oświetlać jarzeniówkami, robić kryte baseny i budować szpitale — odrzucamy jako nierealny. Gdyby miasto posiadały środki na taki front robót, wówczas jedynym problemem byłoby pytanie, co zrobić z mieszkańcami w czasie generalnej przebudowy. Ale u nas z groźnym komunalnym nigdy nie jest tak, jakby się chciało, przeto kolejność działań odgrywa wielką rolę. W Kielcach zaczęto najpierw od mieszkań. Pierwsze nowozbudowane osiedle zapoczątkowało rozwiązywanie problemu mieszkaniowego. Potem przyszła kolej na nawierzchnie ulic. Przed wojną — ani metra asfaltu, a teraz posiada go prawie całe śródmieście. W następnym rzucie szły sklepy. Odrapane klitki przepoczworzono w pachnące freskami świątynie Merkurego. W ostatnim rzucie zaczęto przebudowywać najbardziej anachroniczne dzielnice ruder.

I tak byłoby dobrze, gdyby nie jeden szczegół. Sklepy z całą ich kosztowną oprawą mogły być zejść o dwa szczeble niżej. Przy ich porządkowaniu niewielkie miasto zachorowało nagle na chęć zaimponowania metropolii. Przy głównej ulicy rozpełtała się orgia neonów — niejedną ogromną wysokość. Drugi z rzędu sklep „Delikatesów” wyłożono kolorowymi mozaikami. I właśnie stało się tak, jak się stać musiało. Filmowcy ze swoją kamerą znaleźli miasto kontrastów, jakich nigdy tu nie było. Za fasadą głównej ulicy, strojnej wieczorem na miarę miasta dwakroć większego, kryją się odrapane, a co gorsza, zaśmiecone podwórka i uliczki. Tempo „neonizacji” było szybsze od tempa odświeżania. W rezultacie miasto przybrało trochę obłudną maskę. Wieczorem obiecuje uroki Paryża, w dzień jest tym — czym jest.

A może to znaczy, że każdy kto tu mieszka przeżywa co wieczór własne marzenia o wielkim świecie? Z podwórka dobiega fetorek, ale od frontu oszalania orgia światła. Rano sen pierzchnię, ale znów czekać się będzie na wieczorną uludę. Neony są niebezpiecznym narkotykiem. Już-już myślicie, że w waszym mieście jest prawie wszystko i dopiero beznamiętna kamera intruzów odkrywa prawdę bram, podwórek, bocznych ulic. Gniewacie się na nią. Pewnie, skoro burzy wieczorne radości.

Jad, gdy słodki, albo kolorowy, rzadko bywa nazywany po imieniu. A przecież neony, gdy ma się jeszcze kupę do zrobienia, są rzeczą niebezpieczną. Nie tylko dlatego, że za te pieniądze można uczynić dalszy krok w generalnych porządkach, ale przede wszystkim dlatego, że usypiają trzeźwe spojrzenie. To już Paryż? — pytają ludzie. Kochani, to dopiero Kielce. Prawda, już mocno przeobrażone, już nie parterowe, ale ciągle łaknące zmian generalnych.

Jędrzej

Wspomniane tu wypadki nie należą, niestety, do wyjątkowych i świadczą o do dziś pokutującym partykularyzmie uspołecznionego inwestora czy przedsiębiorcy. Jednym zdaniem — uspołecznienie przedsiębiorstw i instytucji nie przyniosło jeszcze uspołecznienia postawy kierownictwa. Problem ze względu na swą aktualność i złożoność godny uwagi i głębszej analizy.

Ważkim czynnikiem częstokroć lekceważonym lub nieuwzględnianym, a mającym duży udział w deformacji elaboratu graficznego planu jest kolejność oddawania obiektów do eksploatacji i terminowa realizacja. Niehonorowanie ujętych w planie wspomnianych czynników prowadzi w rezultacie do strat gospodarczych w skalę całego miasta, o konsekwencjach wieloletnich. Jaskrawą ilustracją problemu jest budowa, lub raczej odłożenie budowy trasy WZ, arterii mającej połączyć wschodni rejon przemysłowy z centrum miasta i dzielnicą mieszkaniową Kalinowszczyzna. Brak środków nie pozwolił na realizację trasy pomimo trudnego dojazdu do FSC, rzeźni i Majdanu Tatarskiego, a więc do rejonów przemysłowych. A tymczasem rok temu rozpoczęto planowaną (ale po realizacji odcinka trasy W-Z, który miał spełniać rolę kanału komunikacyjnego) przebudowę wiaduktu na ulicy Męczenników Majdanka, obliczoną na kilka lat. W ten „prosty” sposób odizolowano komunikacyjnie teren Majdanu Tatarskiego skupiającego bazy prefabrykatów i budowlane. I znów olbrzymie straty wynikające z kilometrów dodatkowej trasy transportu, przestoje i w efekcie zgrzyty w machinie miejskiej gospodarki.

Podczas dyskusji na wspomnianej konferencji TUP-u inż. B. Wilczewski z WKPG - Lublin podał pewne fakty i wycieńczenia, z których wynika, że trasę W-Z można było wybudować, rezygnując z inwestycji przedwojennych,

niecelowych, czy obecnie w pełni nie wykorzystanych. Są to: kolektory sanitarne na ul. Dziesiątej i Kalinowszczyźnie, na których ukończenie zabrakło środków; dwa pasma ul. Głębokiej, niepotrzebne przy niewielkim natężeniu ruchu w tym rejonie miasta; linia trolejbusowa od ZOR - Zachód na Sławinek minimalnie wykorzystywana; zamrożone nakłady na uzbrojenie terenów magazynowo-skladowych Wrotkowa. Ogólna suma kosztów wymienionych realizacji zamyka się w granicach 22 mln zł, a, jak wiadomo, trasa W-Z miała kosztować 30 mln zł, z tym że sama FSC wystąpiła z propozycją partycypacji 10 mln zł!!!

Jak wynika z powyższego przeglądu wybranych problemów realizacji przestrzennego planu rozbudowy Lublina, dążyłem do uchwycenia zasadniczych przyczyn powodujących odchylenia od planu, jego deformację i różne jej skutki. Biorąc pod uwagę obiektywność pewnych czynników, jak zmiany nakładów inwestycyjnych i korekty planów gospodarczych, należy dążyć do większej ich koordynacji z planem przestrzennym miasta, zarazem udzielając szerszych pełnomocnictw władzom planowania przestrzennego. Jednocześnie wydaje się wskazane wprowadzić w życie postulat zawarty w referacie wygłoszonym na konferencji, który stwierdza, że „... bez naruszania zrozumiałej zasady stabilności planu, plany etapowe powinny być wystarczająco elastyczne. Elastyczność zatwierdzonego elaboratu może się wyrażać tendencją do uogólnień graficznych i opisowych decyzji, przy jednoczesnym rozbudowaniu uwarunkowań realizacyjnych tak, aby zagwarantowana była nienaruszalność zasad i podstawowej konstrukcji planu”.

Ponadto, aby zapobiec lekceważeniu założeń planu ze strony inwestorów i przedsiębiorstw uspołecznionych, należy częściowo i energiczniej egzekwować kary przewidziane ustawą, która od dwóch lat chroni plan przed dowolnymi zmianami.

Ireneusz Jan Kamiński

